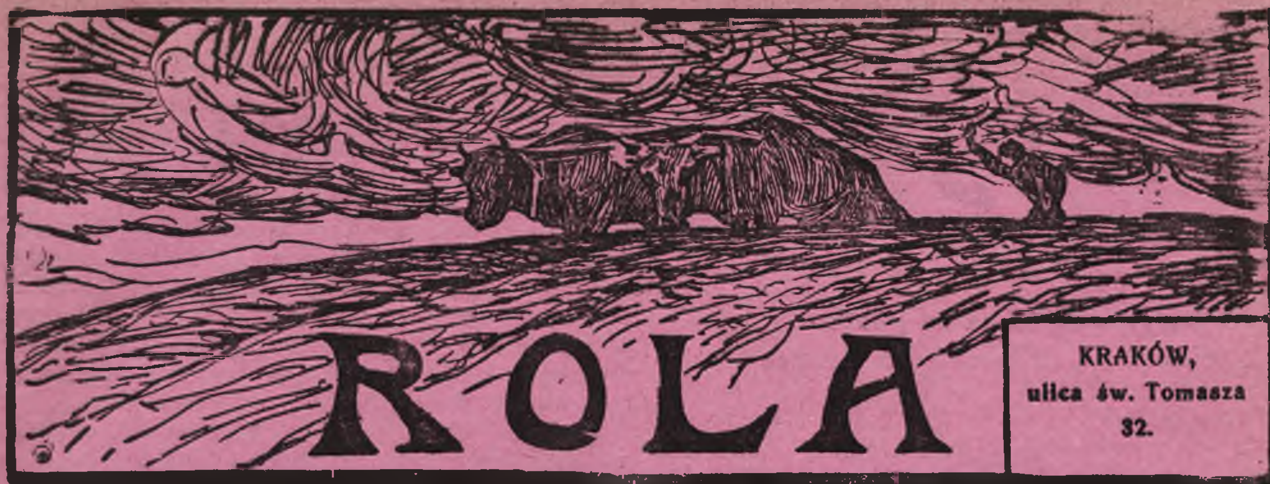
Numer 40. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 30 Września 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Maciek nocował u Kuby i prosił go, ażeby obudził go o piątej. Kuba obudził go jednak o czwartej.

— Czy zwarjowałeś? — krzyczy Maciek — przecie dopiero czwarta!

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że możesz jeszcze godzinę spać.



Najprostsza droga do piekła.

— A powiedz mi, przez co można dostać się do piekła?

— Przez podatki.

— Co też wygadujesz?

— Bo nasz ojciec mówił, że przez te podatki to nas wszystkich djabli wezmą.



Bohaterstwo.

Do dentysty wchodzi mężczyzna o energicznym wyglądzie.

— Panie doktorze! Ząb trzonowy, kieł, dwa siekacze i korzeń. Rwij pan zaraz, na poczekaniu, bez znieczulenia śmiało i odważnie, niech jak chce, boli, byle były wyrwane.

— Brawo! To się nazywa odwaga! Proszę: siadaj pan!

— Co, ja? Nie głupim! Mam na myśli teściową, która siedzi w poczekalni.

— No, teraz po obcięciu włosów już nie wyglądam jak stara baba?

— Nie, ale jak stary chłop...



Trafnie odgadł.

Pan Izydor Landau zapoznaje się podczas podróży koleją z jakimś panem, z którym spędza bardzo mile kilka godzin na rozmowie. W końcu obaj podróżni wymieniają bilety wizytowe, przyczem p. Landau ze zdumieniem przekonywa się, że jego towarzysz jest słynnym odgadywaczem myśli, o którym bardzo wiele czytał w gazetach.

— Nie chciałby pan spróbować odgadnięcia moich myśli? — pyta zaciekawiony.

— Bardzo chętnie. Chociażby zaraz. Pod warunkiem, że o ile odgadnę trafnie, zapłaci mi pan sto złotych. To zwykła taksa...

Pan Landau zgadza się i odgadywacz ujmuje jego rękę, wpatruje się w nią badawczo przez parę chwil, poczem oświadcza tonem wróżbity:

— Jest pan kupcem i myśli pan w tej chwili o tem, żeby ogłosić niewypłacalność i jak najkorzystniej ułożyć się z wierzycielami.

Landau ze zdumieniem patrzy na odgadywacza i, nie mówiąc ani słowa, wyjmuje z portfelu sto złotych i wręcza mu je.

— Widzi pan, trafnie odgadłem pańskie myśli, prawda?

Landau robi jednak przeczący znak głową.

— Co to, to nie — mówi — ale dał mi pan doskonałą myśl...

Numer 40. Rok XI. Kraków, dnia 30 Września 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

W jesieni.

Rozwlokły się w jesieni po łąkach i polach mgły wilgotne. Nad doliną gorzały wzgórza w blaskach zachodu. Złocista tarcza słońca pogrążała się zwolna w przesłonięty czerwonawym i szarym oparem blask nieboskłonu, aż znikła za grzbietem gór, pozostawiając nad ich wierzchołkiem aureolę świetlistą... I wraz pociemniał świat, a zbocza gór stały się błękitnawosiwe. Jaskrawo smutne są te pyszne zachody w jesieni! Zda się, jak rozpaczliwa tęsknota za odchodzącem bezpowrotnie słońcem szczęścia..., jak wołanie daremne za czemś nieuchwytnem, co tylko duszy polskiej jest wiadomem, czego już niema i nie będzie. Zwolna opada z natury powab za powabem i niby starzejąca się piękność coraz jaskrawsze przywdziewa szaty. Zdrowa zieleń zdrowych jeszcze liści poczerniała nieco i jakby przyoblokła jednocześnie. Natomiast więdniejące roztaczają przepychy kolorów rozkłady... Tu i ówzie purpura miesza się z fioletem. W jesieni ogród choruje i umiera... Ostatkiem sił woła rozpaczliwie za minioną młodością, niby człowiek, który lekkomyślnie postradał zdrowie. Czas obdziera z niego bezlitośnie strój przecudny, strój przepięknej wiosny i bujnego lata. On zaś pozostałe strzępy maluje barwami najgorętszemi, zdając się mówić: Patrz, moje liście są jak kwiaty prześliczne! Ach, kwiaty, które już nie mają woni... Zakwitły w jesieni floksy, astry i georginje. Ścielą się w porębach leśnych różowo-liljowe wrzosowiska, kraśnieją wśród zielonych listeczków korale brusznic. Żadnej barwy tu nie braknie, kolor każdego z kwiatów lata i wiosny wśród nich odnaleźć można — tylko nie odnajdziesz ich zapachu. Nie jest to bowiem życie, a tylko jego wspomnienie... Ach, kwiaty, wizje, kolory, wspomnienia!

Przeszła rozlewność młodzieńcza, bujność męska i dziwy tęsknot świetlanych... Wszystko to spłynęło, jak wiosennych wód rozlewiska. W jesieni dmą często wichry — wichry przeznaczeń człowieczych. Odblask wspomnień melancholijnych ożywia na chwilę twarz wszystkiemi barwami uczuć, pragnień i wzruszeń... Ach, wzruszeń, bo z piersi i tajników duszy wyrywa się mimowoli: Dokąd dążysz ludzkości?... Otwiera się przed nami droga ogromna — droga przez lasy krzywd i nędz, które musimy wytrzebić, droga wielkich i dziejowych zadań. Przed nami jeszcze setki Sfinksów, lasy najeżonych dzid, z pośród których ślepia wrogów błyskają, a nad nami gwiazdy przeznaczeń dalekich, wielkich i wiecznych... Zebrać siły ducha, który musi wiecznie żyć i pragnąć, a rzuciwszy granit pod swe tęcze, stanąć na nich z kilofem woli i w pancerzu pracy oraz poświęcenia dla Ojczyzny — oto hasło, buchające z piersi polskich!

Ale cyt — taka cisza... Idzie melancholja wspomnień. W oddali nad klombami astrów, nad krzakami georginij pochyla się jakaś postać w bieli. To anioł przeznaczeń losów państw i narodów. Słychać poety zew:

„O Polsko moja! Spraw cudów Twych mocą,
Przez Twych objawień wizje pałające —
Niechaj się piersi tak moje wyzłocą
Jako cyborjum klejnotami lśniące".

Tak jest! Jak Polska długa i szeroka, niechaj będzie wyzłocona klejnotami czynów, pracy i trudu niemałego, oraz ludźmi pięknego charakteru o myślach wzniosłych a szlachetnych i działaniach epicko-bohaterskich! Długo i wytrwale trzymają się wspomnienia w jesieni. Gdy je słońce rozświetli życiem bujnem i kolorowem, to widać odbicie tego życia w przepychu barw jesiennych. Oto w ogrodzie pstrzą się kwiaty. Od słońca srebrzy się cienka nitka pajęczyny. Na błękicie nieba widać samotną chmurkę białosiwą. Słońce obficie rzuca blaskami, które ślizgają się po wszystkiem, nie grzejąc do głębi. Powietrzem przeciąga rzeźki chłód beznamiętnego spokoju. Pozorna cisza i bezruch — lecz za nami woła świetlany duch Wyspiańskiego: Wolna jest, wolna na zewnątrz! Czy także i wewnątrz, w duszach wszystkich Polaków- Chcemy wierzyć... Jedno jest pewne, co w nas budzi otuchę, nadzieję i rozkosz. Oto jak przyszedł do nas dwukrotny cud zmartwychwstania, tak wnet nadejdzie trzeci cud odrodzenia narodowego, wzrostu, potęgi ekonomicznej i chwały... Więc w górę serca, bo choć w jesieni dmą wichry mroźne na wsze strony, to przecież idą do nas dni świetlanej przyszłości...

Franciszek J. Tryszczyła.

DONAT LESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony)

Szlakiem idei.

Powieść

XII.

Rozpoczął się teraz dla Marysi, okres pracy, trudów i poświęceń.

W szpitalu było pełno rannych — gdyż potyczki z Ukraińcami nie ustawały, a po każdej potyczce przybywało nowych okrwawionych ludzi, którzy jękami swymi rozdzierali serce młodej sanitarjuszki. Marysia bowiem mimo swej całej odwagi, miała nerwy słabe, i po kobiecemu czułe serce, które nie mogło znosić cierpień bliźniego.

Z początku też, gdy przyszło jej pomagać w opatrunkach, czuła, że na widok okrwawionych ran słabnie jej odwaga, a nogi i ręce odmawiały posłuszeństwa. Lecz powoli zaczęła się przyzwyczajać, i nabierać hartu na tej trudnej placówce jaką sobie obrała. Wkrótce też stała się jedną z najdzielniejszych sióstr, którą doktorzy szanowali, a chorzy miłowali jak anioła, gdyż roztaczała naokoło siebie ten suptelny czar dziewczyny anioła, co nie zawacha się jednak przed najcięższym trudem, gdy chodzi o życie ludzkie.

Dnie i noce schodziły jej na ciągłych dyżurach, gdzie chwilowo tylko wypoczywała ciałem, bo dusza jej nawet na śnie odrywała się, by czuwać nad nieszczęśliwymi.

Pewnej nocy, gdy samotna czuwała wśród mrocznych sal, a wsłuchując się w jęki rannych zaczęła myśleć o swoich „chłopcach" — jak ich zwykle nazywała — i z trwogą zadawała sobie pytanie, co się z nimi obecnie dzieje.

Od czasu jak się rozłączyli, nie widziała się z nimi ani razu — gdyż Gustaw z Kazimierzem, wyjechali wkrótce na linję bojową, a ją pochłonął nawał pracy jakiej się oddała z zapałem.

Parę razy miała wiadomości od Gustawa, który donosił jej, że zdrowi są wraz z Kazimierzem, i trzymają się ostro... Ale już od kilku dni nic o nich nie wiedziała, i dlatego nocy tej była dziwnie niespokojną, wsłuchując się w szum wiatru, który się obijał o szyby z zaciekłą zawziętością.

Chwilami dreszcz zimny wtrząsał ciałem dziewczyny, a przed oczyma zaczęły się snuć dziwne halucynacje, tworząc ponure dramaty rozgrywające się gdzieś w głębi nocnej czerni, co rozpostarła się gęstą oponą ponad uśpionym światem...

Wpatrzona w czerń okna, goniła wzrokiem nieujęte wizje, a myśl jej płynęła wraz z niemi w szalonym pędzie aż hen poza obręb miasta, z jedynym wyrazem „Gustaw"... i cicho spadała na samotną placówkę... kędy z karabinem w ręku stał żołnierz, wpatrzony i wsłuchany w szum rozpętanej wichury.

A tam gdzieś daleko, migotały złowrogo czerwone ognie, przy których się grzały ponure postacie Ukraińców, szykujących się nim dzień zejdzie, spaść niespodzianie na polskie straże.

Gustaw stał jak posąg — wpatrując się w te tam czerwone płomyki błyszczące w oddali, niby ślepia nocnych upiorów...

Dwa tygodnie już, jak się przewijał wraz z towarzyszami po linji, to tu to tam, napadając i odpierając wroga.

Do tej pory kule go omijały szczęśliwie, choć nigdy nie zostawał w tyle, ale pierwszy szedł tam, gdzie widniało najgorsze niebezpieczeństwo. Walcząc nie lękał się śmierci wśród gradu kul, ale niepotrzebnie nie wyzywał też jej, gdyż pragnął bardziej zwyciężać i żyć... bo wspomnienie ukochanej dziewczyny oplatało go w niewidzialne pęta, które wiązały go do życia, i budziły w nim pragnienie szczęścia i kochania.

Najbardziej lubiał stawać wśród nocy na samotnych placówkach, gdyż mógł tam swobodnie śnić swoje sny młodzieńcze; o tej złotej przyszłości we dwoje, jaką już dawno w marzeniach swych wysnuwał.

Stał znowu jak zwykle, a naokoło niego wiatr wyprawiał szalone harce, i co chwila śnieżnym tumanem uderzał w stojącego żołnierza.

Oczy Gustawa biegały dziś niespokojnie w czarną dal nocy, kędy błyszczały migocąc, ogniska nieprzyjaciela, a w duszy odczuwał jakiś nieokreślony lęk trwogi.

— Jestem zdenerwowany i przemęczony — myślał sobie dla uspokojenia, i dlatego odczuwam w sobie nieznany mi lęk. Ale to głupstwo!... wkrótce mnie zmienią, więc położę się i wypocznę. — Oj ta wojna! —myślał dalej — ileż ona ludziom zabiera wypoczynku... a iluż układa przedwcześnie na wieczny spoczynek?... Brr... zimno dziś jakoś — chciałbym, żeby już jak najprędzej nadeszła zmiana, bo czas mi się dłuży, a złote sny o szczęściu nie płyną dziś do mnie z oddali... porozwiewał je snać wiatr po polu, i nie chce ich dopuścić, by mi serce nadzieją rozgrzały...

Z oddali w tej chwili doszedł go jakiś szmer, i po chwili usłyszał wyraźne stąpanie.

— Stój! — kto idzie?

— Zmiana!

— Hasło?

— Lwów!

Zmieniony przez zmianę zeszedł z placówki, i podążył w stronę obozowiska, gdzie wszedłszy na kwaterę zastał już tam rozgrzewającego się Kazimierza, który również dopiero co wrócił z innej placówki.

Gdy po krótkiej chwili ułożyli się obaj do snu — Gustaw wciąż dręczony złemi przeczuciami, odezwał się cicho do Kazimierza:

— Nie wiem co mi jest... czuję jednak w sercu jakiś nieokreślony lęk, którego nie umiem sobie wytłumaczyć?... Być może, że z Marychną stało się co złego?... A może — dodał — może to przeczucie mojego własnego nieszczęścia...

— Pleciesz głupstwa! — odparł Kazimierz — zdenerwował cię wicher — co tak dziś nielitościwie zawodzi, i dlatego przedstawia ci się niewiedzieć co!... Ja również czuję w sobie niepokój, ale to tylko nerwy, i dlatego radzę ci się nie pzejmować, lecz usnąć spokojnie i wypocząć, a jutro sam będziesz się śmiał z dzisiejszych urojeń.

— Może ty masz rację, ale może i nie masz!... gdyż przeczucia często przychodzą nie z rostroju nerwowego, ale wprost ze zbliżającego się ku nam przeznaczenia... I dlatego odczuwamy wówczas ten nieokreślony lęk, bo to, co zbliża się ku nam, nie da się już żadną miarą odwołać z naszej drogi.

— A ja ci powtarzam, że są to wszystko tylko urojenia... A wreszcie, choćby i było prawdą, to co mówisz, to czy warto naprzód się przejmować i dręczyć?... Czy nie lepiej jest zamknąć oczy, by nie patrzeć na zbliżające się ku nam widmo... i w złudnym śnie nieświadomości, snuć złote marzenia życia... które, choćby się nie miały nigdy wypełnić, to jednak osłodzą nam ostatnie nasze chwile, i przeniosą się z nami w zaświaty — jeżeli już taki wyrok wydało na nas przeznaczenie?

— Może i masz rację!... Ale gdyby tak jutro, stało się ze mną to co czuję, to ty Kazimierzu... ty pamiętaj o niej... o Marychnie!... I powiedz jej odemnie, że kochałem ją zawsze... i choćby tam poza światem... kochać ją będę! A ty opiekuj się nią tu na świecie... Bo ja wiem — dodał cicho — że ty ją też kochasz...

— Gustawie!...

— Cyt! — nie przerywaj!... znam twoją tajemnicę, gdyż wyspowiadałeś ją we śnie — lecz nie myśl, że mam żal o to, do ciebie... Jesteś mi bratem zawsze! A twoja miłość jest bohaterstwem, gdyż zapierasz się jej nawet sam przed sobą. A teraz wybacz, żem wyjawił ci twoją własną tajemnicę... gdyż dziś, musiałem to uczynić, aby wrazie czego... nie było między nami żadnego cienia, coby nas dzielił z sobą. Zostaniemy braćmi na zawsze, a gdyby mnie zabrakło, bądź ty jej bratem i opiekunem...

Kazimierz tłumiąc łzy w oczach, objął szyję Gustawa i serdecznie go uścisnąwszy, odparł drżącym ze wzruszenia głosem:

— Stoimy obaj na jednym posterunku, i niewiadomo kto pierwszy odejdzie... lecz cokolwiek się stanie, przyrzekam ci Gustawie, że pozostanę zawsze bratem jej i tobie... A ciebie proszę o zapomnienie mojej tajemnicy... niech ona spoczywa w mojem sercu, zamknięta pieczęcią milczenia.

(Dokończenie nastąpi).

O pokarmach zwyrodniających człowieka.

a) Mięso.

Z zakończeniem wakacyj zabieram się znowu do pracy, aby Czytelnikom przypominać dalej prawo przyrody, tem chętniej, że spora gromadka skorzystała już z moich artykułów. To i dobrze, gdyż razem z tem pójdzie moje przekonanie, że odmłodzą się duchem i wdzięcznem słowem nagrodzą trud mój i gotowość „Roli“ udzielenia swych łamów dla ogólnej korzyści. Wiem, że to tylko bardzo pomału da się wpoić w powszechną opinję, wiem też, że idę przeciw ogólnie przyjętym prawidłom kuchni i odżywiania się, ale mam to przekonanie, że zamiary moje to rzecz wzniosła, a trzymanie się na mojej pozycji: sam jeden przeciw wielu, jest odwagą. Każdy taki czyn ideowy, prędzej czy później, musi wydać dobry plon nietyle ilościowy co jakościowy. W poprzednich artykułach wykładałem teorje zagraniczne, uświadamiałem jak dalece wrze tam praca nad rozwiązaniem zagadek życia ludzkiego, a obecnie sięgam w głąb ducha ojczystego, aby wykazać, że i u nas nie brak myślicieli-ideowców, chcących poprowadzić tam, gdzie światło, swoboda, życie długie, a szczęśliwe. Bo i o cóż więcej chodzi? Proszę: Przeczytajcie, co mówił Oskragiełło przed czterdziestu paru laty w przedmiocie odżywiania się mięsem:

„Martwe ciało człowieka, umarłego lub zabitego, nazywamy trupem. Tak samo zdechłego zwierzęcia. Ciało wołu zabitego, zowiemy delikatnie... mięsem. Na cóż to rozróżnianie? Tak czy owak, trup jest trupem; wszak między trupem ludzkim a zwierzęcym niema żadnej zasadniczej różnicy. Oba, z chwilą zachorowania, a tembardziej zabicia, ulegają temu samemu rozkładowi, czyli gniciu. Trupów, wcale słusznie, instynktowo unikamy, czujemy do nich wstręt nieprzezwyciężony. Trupa wołu... zjadamy! O! bezmyślności ludzka! Tak zniedołężniające nawyknienie, zmąciło ci logikę i żołądek! Od trupa krowy, padłej na drodze uciekamy; tenże sam trup zawieszony w jatce, wcale nas już nie razi, a z półmiska zjadamy go z największem zadowoleniem, żeby go w naszych własnych wnętrznościach pochować.

Dlaczego do trupa, a nawet już do chorego, pomimo współczucia, czujemy wstręt? Dlatego, że śmierć jest wrogiem życia. Z chwilą choroby rozpoczyna się powolny rozkład ciała; z chwilą śmierci, ten sam rozkład następuje gwałtownie. Jest prawem przyrody, że ciała stworzeń, z których życie uleciało, przeznaczone są do rozkładu na swe części mineralne, żeby napowrót mogły służyć roślinom za pokarm, a te znowu indywidualizować mogły zwierzęta itd. Otóż za życia tych ciał zwierzęcych, odbywa się w nich przemiana materji, czyli zużywanie się i odnawianie ciała. Zużyte cząstski ciała rozpuszczają się we krwi, w warunkach prawidłowych, poczem, płucami przez wydechanie, skórą, zapomocą przeparu i potu, nerkami przez mocz i jelitem przez ekskrementa, bywają wydalane. Te wydzieliny są dla zdrowia trucizną. Chemicznie wyrażając się, te wydzieliny stanowią fizjologiczne alkalwidy, przyrodzone wytwory przemiany wstecznej, które w pewnym stopniu zalegają we wszystkich tkankach ciała. Przy nadmiernem ich nagromadzeniu w ciele przez zbytek pracy, trwogę, zdenerwowanie, lub głód i pragnienie, podczas których ich wytwarzanie się zwiększa, a wydzielanie zmniejsza, zatruwają całe ciało, czyniąc je chorem.

Te alkaloidy (trucizny) nazywają się leukomainami. Wszelkie wytwory gnilne zawartości jelita źle trawiącego, które zbyt długo zalegają, czy to w postaci gazów, płynów, czy pokarmów stałych, przechodząc w stan gnicia, nazywają się ptomainami. Te ptomainy, rozchodząc się po przewodach mlecznych i limfatycznych, zatruwają krew i tak powstaje choroba. Wytłumaczyłem to już jaśniej w artykule p. t.: „Jak powstaje choroba“. Stosownie do jakości użytego pokarmu i jego niestrawności, leukomainy mają różną nazwę, jak: ksantokreatynina, pseudanantyna itp., ciężkie nazwy naukowe, niemające dla nas żadnej wartości. Dość, że gniliwo fizjologiczne i gniliwo jelitowe zatruwają krew na równi. Bydło i trzoda chlewna karmione na opas, są pozbawione ruchu, niedokładnie poczynają trawić, w miejsce zdrowych tkanek tworzy się tłuszcz, zaczyna się wytwarzać gniliwo jelitowe, a przez ten sam brak ruchu wydalanie gniliwa przemiany wstecznej odbywa się coraz leniwiej, zalega ono coraz obficiej, aż w końcu gdy bydło na rzeź jest gotowe, jest ono nawskroś otrute gniliwem własnem, czyli własnojadem, zatem zupełnie chore. Bydło opasowe, przechodząc w rzeźni torturę trwogi, zwiększa w sobie jeszcze to gniliwo, a po zabiciu następuje dopiero rozkład gnilny gwałtowny — od ostatniego ścierwa gnijącego, dzieli go nie jakościowy, lecz tylko stopniowy już rozkład. Dodajmy do tego inne jeszcze wytwory zamiany wstecznej, jak mocznik, kwas moczowy, kreatynina, sarkina, a dalej różne robactwo jak trychiny, psorospermy, zarodki tasiemców, które się w naszych wnętrznościach i tkankach dalej lęgną, nie mówiąc już wcale o jadzie gruźliczym krów, o jadzie specjalnym widocznie chorego bydła, a będziemy mieli wyobrażenie, na jakie się wystawiamy niebezpieczeństwo, jedząc mięso, jakiemi trupiemi obrzydliwościami się karmimy i na jaki szwank swe życie i zdrowie narażamy. To też bezustannie chorujemy; ustrój nasz obarczony pracą przeciwdziałania wrogim tym wpływom, z czasem coraz bardziej słabnie, życie przed czasem wątleje i gaśnie. Stworzenie przewrotnie ży-

jące, prędko ginie! Przyroda gnilna mięsa, łatwość rozkładania się jego wespół zawartym już w tak zwanem świeżem mięsie gniliwem i chorywe, czyni je jako pokarm niebezpiecznem. Alkaloidy, drażninące nerwy, podniecają je do wyższej czynności; stąd chwilowe uczucie pokrzepienia jak po wódce. Wpływ mięsa i wódki na ustrój nieprzyzwyczajony ani do jednego, ani do drugiego, jest baradzo podobny: odurza, wywołuje stan pijaństwa, a w końcu sen.

Profesor Trall, słynny badacz, powiada: „Najlepiej smakuje mięso krowy, która chorowała na gruźlicę. Jest ono nader delikatne i ma osobliwy smak słodkawo-aromatyczny, wysoce ceniony, pochodzący z przysmażanej zawartości wrzodów i wrzodzianek, którą ludzie z rozkoszą wysysają". Mięso zanieczyszcza krew, nadaje jej chorokater gnilny, zgęszcza ją, zgorączkowywa, czyni człowieka leniwym, denerwuje, budzi namiętności i nadaje całemu usposobieniu naszemu nastrój chorobliwy. Ten nastrój zupełnie jest podobny do nastroju zwierząt drapieżnych, zawsze ponurych, złych i do wybuchów skłonnych — rozumie się to samo przez się, gdyż zachodzi tu dość ścisłe podobieństwo. Jedząc mięso i innych używając podniet, obarczamy nerki wielką pracą. Pięć szóstych zjedzonego mięsa przetwarzać muszą w mocznik dla ratowania ustroju, stądto ludzie mięsożerni niemal wszyscy po 30 roku życia mają nerki mniej lub więcej zwyrodnione i cierpią na choroby artretyczne: goście, dny, opuchliny wodne itp. Mięso surowe bardziej wpływa na rozdziczenie obyczajów niż gotowane. Anglicy, którzy mięso jedzą w stanie bardziej surowym niż inne narody, ulegają temu wpływowi wyraźniej. Zdziczenie takie, w życiu duchowem prowadzi do pychy, nienawiści, do gardzenia innymi narodami, do niezdolności pojmowania przedmiotowego i do innych złych skłonności obniżających charakter. Zasada walki o byt: „Homo homini lupus" (Człowiek człowiekowi wilkiem) zrodziła się w mięsie.

Ludwik St. Unsing.

Nasz chleb powszedni.

Wszelkie istoty żywe, zamieszkujące ziemię, muszą dla podtrzymania życia pobierać pokarmy. Odżywianie się jest jedną z najistotniejszych cech życia. Prawu temu, narówni ze wszystkimi innymi istotami, podlega i człowiek. W najwznioślejszej modlitwie ludzkości prosimy Ojca Najwyższego „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". Czemże jest ten chleb nasz powszedni?

Codzienną strawę człowieka stanowi mięso, jarzyny, nabiał, owoce, cukier i setki najrozmaitszych łakoci, wymyślanych gwoli zadowolenia wysubtelnionego podniebienia smakoszów. Nie wielu jest jednak, zdających sobie sprawę z tego, że to, co stanowi istotę pokarmu w owych najrozmaitszych odmianach potraw, jest zawsze tylko białkiem, tłuszczem i skrobią czyli krochmalem. Te tylko składniki przyswaja nasz organizm przy spożywaniu potraw mięsnych czy też roślinnych, choćby najwymyślniej przyrządzonych

Nie tylko człowiek, ale i wszystkie zwierzęta żyjące na ziemi, w wodzie, w powietrzu, w głębi ziemi przyjmują pokarm również tylko w postaci białka, tłuszczu i krochmalu. I tu już mimowoli nasuwa się pytanie gdzie się wytwarzają owe składniki? Próżnobyśmy ich szukali w przyrodzie martwej, wśród skał i minerałów, tam się one nie tworzą. Źródłem pokarmu dla całego świata zwierzęcego na kuli ziemskiej są rośliny, te tylko ze składników mineralnych potrafią przygotować owe składniki odżywcze. Cały więc świat zwierzęcy łącznie z człowiekiem jest jakby wielkim pasożytem świata roślinnego. Nawet zwierzęta drapieżne, żywiące się wyłącznie mięsem innych zwierząt, przeważnie roślinożerczych, zyskują pośrednio białko, tłuszcz i krochmal od roślin.

Chcąc wniknąć głębiej w problem odżywiania się, musimy się zwrócić do wysoko rozwiniętej nauki chemji. Pierwszem zagadnieniem będzie sprawa cukru, uważanego przez nas za jeden z najdzielniejszych środków odżywczych. Otóż chemja wykazała, że cukier składa się z węgla, wodoru i tlenu, a taki sam skład posiada i krochmal, który jest, jak gdyby zgęszczonym cukrem, dającym się przy pomocy środków chemicznych zamienić na cukier. Ciała o takim składzie chemicznym nazywamy węglowodanami, gdyż przedstawiają się one jak gdyby połączenie węgla z wodą. Zdawałoby się, że znając dokładnie skład chemiczny węglowodanów, wystarczyłoby zmięszać odpowiednią ilość węgla i wody, a otrzymalibyśmy jeden ze składników naszego pożywienia sztucznie. Ale tu człowiek ze swoją mądrością staje bezradny; wszelkie próby sztucznego otrzymywania cukru czy też skrobji zawiodły. Tłuszcz i białko posiadają budowę chemiczną jeszcze bardziej złożoną, więc dziś jeszcze chemja jest bardzo daleką od sztucznego wytwarzania tych ciał.

To jednak, czego nie może dokazać człowiek, rośliny z łatwością wykonują. Nic więc dziwnego, że wszędzie, gdzie człowiek zamieszkał, ogromne obszary ziemi pokryły się ogrodami i polami uprawnemi, na których rolnicy i ogrodnicy w pocie czoła obsługują rośliny, w celu uzyskania od nich chleba powszedniego w postaci białka, tłuszczu i węglowodanów.

Rośliny dla wytwarzania tych ciał posługują się aparatem, którego budowy nie rozumiemy i naśladować go nie potrafimy. Aparatem tym są tak zwane ciałka zieleni, znajdujące się w liściach, a ich siłą popędową jest światło słoneczne. Mamy tu doskonały przykład maszyny, pracującej energją świetlną.

Owe ciałka zieleni, widziane pod mikroskopem, wyglądają jak złoto-zielone krążki. Każdy liść składa się z wielu tysięcy komórek, a każda komórka jest formalnie wypchana ciałkami, gdyż zawiera ich po parę set. W powietrzu znajduje się stale gaz, zwany dwutlenkiem węgla, ponieważ składa się on z jednej części węgla i dwu części tlenu. Jest to gaz powstający przy spalaniu drzewa i węgla, wyrzucany przez wulkany z wnętrza ziemi, wydechiwany przez wszystkie istoty żyjące na ziemi. Gaz ten zostaje wchłonięty przez liście i tutaj pod wpływem promieni słonecznych ciałka zieleni rozkładają go na węgiel i tlen. Tlen zostaje wydalony na zewnątrz, a węgiel łączy się z wodą na cukier, cukier natomiast przetwarza się w krochmal. Proces ten nazywa się asymilacją albo przyswajaniem węgla.

Na tem wiadomości nasze się kończą. Wiemy mniej więcej, jak zachodzi ów proces, nie znamy natomiast budowy samej maszyny i jej działalności.

Powstawanie tłuszczu, gromadzącego się przeważnie w nasionach roślin, stanowi jeszcze większą tajemnicę. A białko o niezmiernie skomplikowanej budowie, składające się z węgla, wodoru, azotu, tlenu czasami siarki i żelaza, stanowi dla nas tajemnicę niemal nieosiągalną.

W krótkim zarysie poznaliśmy dzieje „chleba naszego powszedniego“ i to, co pozornie wydaje się szare, codzienne okazuje się pełnem tajemnic niezbadanych, nad odkryciem których pracuje cały legjon ludzi, poświęcających swe życie nauce. Nie koniec na tem: poznaliśmy cały łańcuch zależności, ogniwa których ściśle się z sobą spajają: rośliny zależne są od gleby, od roślin zależne jest życie wszystkich zwierząt i ludzi, a przez to wytwarza się pośrednia zależność człowieka od gleby. Widzimy więc, że w tym znaczeniu człowiek jest naprawdę istotą przywiązaną do gleby.

Jan Szybowicz.

ZWIADY.



Komuż nieznane są te świetliste dzieje chłopców naszych, kiedy to na zew dzisiejszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, niemal bezbronni rzucili się na odwiecznego wroga naszego, może nie tyle, aby zwyciężyć, boć o zwycięstwie trudno było wówczas marzyć, ale aby zaznaczyć przed światem, że żyjemy i żyć chcemy. Dzieje tej garstki bohaterów-szaleńców wszystkim są znane dobrze, trudno je tu więc przytaczać, dla przypomnienia ich jednak podajemy charakterystyczny obrazek naszego mistrza Wojciecha Kossaka. Oto „legun“ na swym koniku wyruszył na zwiady, aby zasięgnąć języka o wrogu. Napotkał po drodze orzącego chłopka, który swemu rodakowi chętnie udzieli potrzebnych informacyj. Chłopek patrzy z ufnością na żołnierzyka, który opuścił ojca i matkę, aby krew swą, a może i życie dać za umiłowaną Ojczyznę. Informator ów może nawet nie rozumie wielkości sprawy, ale „swojakowi“ udziela wskazówek chętnie, bo przeczuwa mimowolnie, iż wielkie rzeczy dzieją się na świecie. Może już obydwaj spoczywają snem wiecznym, ale pamięć o nich wśród nas nie zaginie, gdyż obydwaj dobrze zasłużyli się Ojczyźnie.

Ziemia nasza niemal cała zasłana kośćmi bohaterów naszych, a pola krwią ich zroszone. A ci, co pozostali przy życiu, rozbiegli się po tej wywalczonej ziemi swojej, aby dalej dla niej pracować.

MACIEK BZDURA GADA:

Okrutecniem ciekawy, cem ja się różnie od konia, od kobyły, albo nieprzymirzając choćby od takiej krowy? Ino słonecko wylizie zza Bartkowej stodoły, juz mnie gospodyni ciągnie z wyrka do roboty, a ja znowu ciągnę śkapy i harujewa razem do samego wiecora. Ale kobyły o tyle sceśliwse odemnie, ze choć niedzielę mają spokojną i robią, co chcą, a ja nawet w niedzielę musę iść do kościoła i drzymać.

A przecie, kuzdemu to zreśtą katolikowi wiadomo, lepse od roboty to spanie, a zwłasca takie, jakiem miał wcora. Ułaził się cłek okrutecnie bez cały dzień, to spanie było galantne, ze jaz hej. Bez cały cas spania, bo to w niem kawalyrzowi ni ma kto przeskodzić, śniło mi się wiele ślicności, które po dziś dzień pamiętam dokumentnie.

A więc najprzód śniło mi się, ze do nasej wsi zjechał z nieba taki anioł z ognistą siablą i zacął rządzić. Co siablą rusy, nowe dziwa robią się na świecie. Ludzie odrazu nabrali rozumu i nie było w nasy wsi ani Piastowców, ani Wyzwoleńców, ani Stapińcyków, ani socjalików, ani bebów, ino sami porządni ludzie. Wszyscy przestali się zryć o ten wiatr zesłorocny, tylko wzięli się do roboty, a choć mniej gadali, to robili mondrze i dobrze.

Pirsą ich robotą z tej roboty to było to, ze z całej wsi, a nawet z całej parafije wyrzucili wszyćkie karcmy, a wódki nawet na likarstwo pić nie wolno było. Na to miejsce postawili se taką wielgaśną chałpę gminną, w której zbirali się w niedzielę, a nawet i przy tem dniu wiecorami gospodarze i gospodynie, a także i ciarachy co większe na pogadanki, na cytanie gazytek, a jak się jem kiedy zachciało, to se urządzili tańcowanie, albo inksą zabawę bez wódki i piwa.

Wszyćkie adukaty posły na inksy zarobek, bo się ni miał kto procesować, więc i sądów nie było, a ludzie powiadali sobie tak:

— Cyja prawda prawdziwa, to mu trza ustąpić, a o nieprawdziwą prawdę to się skoda precesować i złote nabezdurno tracić.

Bitek nie było takze zadnych, bo ludzie mieli rozum, a nie było wódki.

W kuzdy chałupie było cyściutko, nicem u jegomości na plebanji, na łózkach całe fury pierzyn i podusek, jak u plebańskiej gospodyni, a stół białą płachtą nakryty, jak łuntarz w kościele. A na stole uźrałeś różne lamentarze i inkse cytaki, pomiędzy któremi nigdzie i nasy „Roli" nie brakło. Grunta rodziły ślicniuśkie zboza i inkse zimniaki, bo ludzie nietylko od nieboscyka tatusia się ucyli, ale i przez cytanie mondrych ksiązek rozumu nabirali. I było tak, ze nietylko ksiąc probosc, pan organista, prefesur i ja z gospodarzem umieli cytać i cytali gazyty, ale wszyćkie ludzie z całej parafije były porzomdne i umiały cytać.

Ludzie, jak się poschodzili, to nie gadali, co ten tej zrobił, a tamta tamtemu, ale se opowiadali, co i jak jest na świecie i jak się co robi. Nie obchodziło ich, co tam gdzie kto i co ma pod spodnicą, bo to swoja rzec, ale dowiadywali się z ksiązek lub od inksych jak i gdzie co jest na świecie.

Takiem miał piękne śnienie i jagem wstał, opowiedziałem je gospodarzowi i, Boże odpuść, gospodyni.

Gospodarz pokiwali głową i widać, ze się zasumowali strasecnie, bo tak padają:

— Oj, Maciuś, Maciuś, zeby tobie się takie rzecy i sto razy śniły, to one pozostaną tylko snem i nicem więcej, bo ludzie rozumu boją się, nie przymierzając, jak baba pchły, albo djabeł święconej wody. Ile to jesce bab na świecie, co rodzącemu chłopu zabraniają posłać parę złociaków na gazytę, a ile ojców, którzy powiadają, ze lepiej się przespać, jak w bałamuty ślipia wrazać.

Mądrze gospodarz gadali, ale im gospodyni przerwali, bo to kuzda baba najcęściej tam swój palec wepcha, gdzie nie trza:

— A nie śniły ci się tam, Maciek, gdzie pirogi na wirzbie, albo kluski w rzyce? Oj, głupi Maciek, głupi! jesce raz głupi!

Ale no wicie, z babami to zawse tak! Gadaj jej, o cem ino rzywnie chces, to ona wszyśko na swoje kopyto przerobi i jesce chwała Bogu, jak na ciebie razem z gębą nie wlizie. I ja ino nie wiem, na co to Poniezus na świecie stworzył? Chyba ino po to, aby cłek nietylko we dnie, ale i w nocy ni miał spokoju.

DO MAĆKA.

Kochany Maciusiu, jakze sie ta miewos?
Moze sie juz twoja Kasiunia wydała?
A na mnie to pewno juz sie trochę gniwos,
Zem ci juz tak downo nic nie napisała.
Ale widzis, Maciuś, downi lepi było,
Były se złocioki pikne papirowe,
To sie dwuzłociocka w kuwerte włozyło
I było do ciebie pisanie gotowe.
Teroz, co roboty! I list trzeba pisać
I cek napisać trza na dwuzłociocka
I lotego, Maciuś, tak musiołeś cekać,
Jaze napisała dzioucha do chłopocka.

A. W.

Czegóż nam trzeba?

Rola, żywicielka, daje ludziom chleba,
Lecz chleba tylko, który żywi ciało,
A nam coś więcej do życia potrzeba,
Gdy żyć dla ciała, jest dla nas za mało.

Nam wciąż potrzeba duchowej podniety,
By zwyciężonym, nie uchodzić z pola
Jak dążyć mamy, do celowej mety,
Daje nauki, ta gazetka „Rola".

W „Roli" znajdziemy tylko jasne cele,
Jak umysł kształcić, uszlachetniać ducha,
Wszak jeszcze dzisiaj ciemnoty tak wiele,
Niech więc, kto może, dobrej rady słucha.

Czytać nam trzeba wiele dobrych rzeczy
Gdyż nas nieuctwo upokarza — boli,
Dobre nauki, tego nikt nie przeczy,
Znajdziemy zawsze w tygodniowej „Roli".

„Rola nam daje nauki, pociechy,
Rozjaśnia czoło, uprzyjemnia dolę,
Niechaj więc wszysvy z pod wieśniaczej strzechy
Czytają chętnie tę przepiękną „Rolę".

Piotr Leśniak.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Mieszkańcy Gór Skalisych.



Jak to już powiedzieliśmy w poprzednim numerze »Roli«, Europejczycy po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba zawładnęli nią niemal w zupełności. Początkowo zakładali miasta i grody warowne w pobliżu oceanu Atlantyckiego, z czasem jednak posuwali się coraz dalej ku zachodowi, tępiąc dotychczasowych mieszkańców nowoodkrytej ziemi, lub ich wypierając w dalsze, a często trudno dostępne okolice. Tubylcy z rokiem każdym topnieli, a dziś jest ich już niewielka ilość. Bronią oni się przed ostateczną zagładą, chroniąc się w górach ciągnących się wzdłuż oceanu Wielkiego, a zwanych Górami Skalistemi, lub po olbrzymich puszczach Ameryki Północnej.

Ale i tam dotrzeć potrafiła już potężna ręka Europejczyków. Wprawdzie nie zajęli oni jeszcze całych, olbrzymich przestrzeni, ale poprzerzynali je jakby sieciami, linjami kolejowemi, łączącemi gęsto zaludnione wschodnie obszary Stanów Zjednoczonych z górzystym zachodem. Połączenie kultury z dziewiczością rodzimą tamtejszych okolic tworzy widok oryginalny w swoim rodzaju.

Widzimy to zresztą na naszym obrazku. Oto rozciąga się step olbrzymi, którego oko ludzkie nie przejrzy. Jest to siedziba pierwotnych mieszkańców Ameryki, a także stad bawołów, tabunów dzikich koni oraz innego zwierza wszelkiego rodzaju. A przez step przebiega linja kolejowa, zbudowana przez nowych przybyszów, łącząca Wschód z Zachodem. Po szynach od czasu do czasu przebiega z nadwyczajną szybkością pociąg osobowy, lub snuje się nieco wolniej pociąg towarowy, wiozący płody mineralne z Gór Skalistych. A na odgłos świstu lokomotywy lub turkotu kół wozów kolejowych zrywają się stada bawołów lub koni dzikich i pędzą wystraszone, co sił im w nogach starczy. Gromadę takich uciekających bawołów widzimy właśnie na naszym obrazku.



Osada Indjan w Górach Skalistych.

Po rozległych stepach mieszkań ludzi niewiele. Indjanie cofnęli się przeważnie dalej ku zachodowi pod osłonę Gór Skalistych. Pozakładali sobie tam osiedla, coś w rodzaju naszych wsi, gdzie żyją i rządzą się sami, jak mogą. Niemal każda wieś tworzy oddzielne plemię, z których każde ma swojego wodza, noszącego przeważnie dziwne imię, jak Jeleń Wrzący, Orzeł Czarny i t. p. Plemiona te żyją ze sobą w wielkiej nieprzyjaźni i częstokroć napadają na siebie wzajemnie, zabijając jedni drugich lub biorąc do niewoli. Ale wszyscy razem Indjanie nienawidzą serdecznie białych, gdyż wiedzą, że i ci są ich najniebezpieczniejszymi wrogami.

Niektórzy z nich nie posiadają dotychczas trwałych domów, lecz, prowadząc życie koczownicze, zadawalają się namiotami, które ich chronią od deszczu, śniegu, lub żaru słonecznego. Osadę taką, złożoną z szeregu namiotów, widzimy właśnie na naszym drugim obrazku. Jest to kolonja Indjan w Górach Skalistych Kanady. Mieszkańcy jej należą widocznie do Indjan więcej cywilizowanych, o czem świadczą ich stroje takie, jakie i my nosimy.

Jak to już wyżej powiedzieliśmy, przybysze z Europy od samego początku starali się tubylczych Indjan wytępić. A szło to wszystko tem szybciej, że tak dawniejszy rząd angielski, jak i obecny rząd amerykański nie bardzo temu przeciwdziała. Wprawdzie są ustawy, biorące w obronę biednych Indjan, ale ustaw tych prawie nikt nie przestrzega. Często też często najcięższe nawet zbrodnie, popełniane na Indjanach, uchodzą bezkarnie, podczas gdy nawet za pozorne przestępstwa Indjanie bywają karani z całą surowością, o ile się tylko który z nich da ująć.

W jaki sposób biali postępują z Indjanami, opowiada o tem pewien naoczny świadek. W wielu zakątkach Ameryki napływ białych był tak znaczny, że grunta miejscowe nie mogły dla nich wystarczyć. Naturalnie, że podwajało to ich niezadowolenie z sąsiedztwa Indjan, do pozbycia się których nie wahali się używać najniegodziwszych, zbrodniczych nawet środków. Naprzykład, niekiedy się zdarzało, że sprzedali im zatrutą mąkę, cukier i inne zapasy żywności, tak, że w przeciągu kilku tygodni wymierały całe obozy. Nadto biali wezwali sobie na pomoc w swej niecnej działalności rozmaite choroby, nieznane dotąd In-

djanom, a szczególniej ospę, od której biedni krajowcy nie umieli się uchronić, ani też pielęgnować dotkniętych nią osób. Oto oburzający fakt, opowiadany przez wiarogodnych świadków.

Biali postanowili wytępić pewien indyjski obóz na wybrzeżach oceanu Spokojnego, zawiesili więc w pobliżu indyjskich szałasów na drzewie ubranie człowieka, który umarł z ospy. Indjanie spostrzegli tę odzież, a ucieszeni swą zdobyczą, wzięli ją i przywdziali na siebie. Wkrótce okropna epidemja wybuchła w całym obozie i z kilkuset dzikich zostało zaledwie kilkanaście osób, aby opłakiwać swych krewnych i przyjaciół, którzy padli ofiarą tej klęski. Nieszczęśliwi nie wiedzieli nawet, jakie cierpienie im dolega, kąpali się więc, aby się obmyć i padali trupem jedni na drugich na samym brzegu rzeki.

Rasa indyjska coraz bardziej wyradzać się zaczyna i z każdym dniem niemal niknie. Przypisać to należy rozprószeniu plemion w różnych zakątkach kraju, stopniowemu redukowaniu się ilości krajowców, oraz licznym małżeństwom, zawieranym pomiędzy krewnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ślepa niewolnica.

Rozdział XXIV.

Głos przestrogi.

Z krótkiego snu obudził Sassę nagle szmer w pobliżu.

Rozpoznała przyczynę tego szmeru.

Niedźwiedź zwietrzył jej ślad i przyszedł za nią pod skałę, na którą się schroniła.



Próbował on wdrapać się na głaz.

Próbował on wdrapać się albo wskoczyć na ten głaz, ale wysilenia jego były daremne.

Teraz starał się łapami dostać szat Sassy i ściągnąć ją. Sassa wiedziała, że jest znowu w strasznem niebezpieczeństwie, gdyby bowiem jakimkolwiek sposobem udało się niedźwiedziowi dosięgnąć jej, byłaby bez ratunku zgubioną.

Zwierzę usiłowało także wykopać pod kamieniem dół, ażeby głaz się pochylił i żeby Sassa spaść z niego musiała.

Ślepa niewolnica domyśliła się zamiaru niedźwiedzia i zaczęła machać szablą, ażeby go odpłoszyć.

Niedźwiedź jak szalony rzucał się na kamień.

Sassa czuła, że głaz się porusza i może się obsunąć do dołu wykopanego przez niedźwiedzia.

Przytem rozjuszone zwierzę zdołało szablę pochwycić zębami i wyrwać ją ślepej niewolnicy, tak, że byłaby bezbronną, gdyby kamień się pochylił.

Krzyk przerażenia wydobył się z drżących jej warg i rozległ się daleko po puszczy.

Kogo wołała? Czyjej pomocy spodziewać się mogła? Czyż mogła przypuszczać, żeby ją ktokolwiek usłyszał?

Śmiertelna trwoga wydobyła z jej piersi ten okrzyk, który się rozległ daleko, daleko!...

A jednakże... czyżby rzeczywiście jaka ludzka istota jednocześnie z nią przebywała na puszczy?

Sassa drgnęła... niespodziewana radość wstrząsnęła nią.

Usłyszała rżenie i zbliżanie się konia... usłyszała głos człowieka, który konia naglił do biegu.

— Stójcie! ratujcie! — wołała Sassa, — patrzcie tutaj!

Niedźwiedź niezadowolony przybywaniem odsieczy, zwrócił się przeciw nowemu nieprzyjacielowi.

W tej chwili odgłos śmiechu dobiegł do Sassy.

Ten śmiech był jej znajomy.

— Wielki Boże! to Czerwony Sarafan! — zawołała, składając ręce, — Sarafanie! czy to ty? strzeż się! Niedźwiedź zwrócił się przeciw tobie!

Śmiech Sarafana, dał się słyszeć znowu.

— Nie bój się nic, niewolnico Sobieskiego! Skąd się tu wzięłaś na tej puszczy? — zawołał Czerwony Sarafan.

— Zawleczono mnie tu przemocą.

Sarafan zaledwo zdołał powstrzymać konia, przestraszonego widokiem niedźwiedzia, który się zbliżał do niego.

Dzielny jednakże jeździec, tak silnie siedział na koniu, że się zdawało, iż stanowił z nim jedną całość.

Wydobył pistolet z olster siodła, pozwolił niedźwiedziowi zbliżyć się i z głośnym śmiechem wypalił.

Kula przez oko weszła niedźwiedziowi w głowę.

Z głuchym jękiem padł on na ziemię i zamilkł wkrótce.

Po chwili przestał drgać.

— Czyś trafił Sarafanie? — zapytała Sassa z niepokojem.

— Siadaj ze mną na konia, niewolnico, — odpowiedział Sarafan podjechawszy pod kamień, — tutaj nie możesz zostać. Dowiozę cię na drogę, a tam dasz sobie radę. Ja muszę jechać dalej.

— Czy niedźwiedź nie żyje?... Jedźmy stąd masz słuszność, Sarafanie, jedźmy stąd! Wyprowadź mnie z tej strasznej puszczy, do której mnie zawleczono!

— Skazali cię na pożarcie prez dzikie zwierzęta, — śmiał się Sarafan, — gdyby nie ja, byłabyś zginęła Sasso! Ale czy sądzisz, że będziesz ocalona, gdy się wydobędziesz z puszczy, że ci już nic nie zrobią, bo wyrok został wykonany?

— Weź mnie z sobą, Sarafanie!

— Czy wiesz, że teraz należysz do tego, kto cię ocalił i wyprowadził, a zatem do mnie!

— Do Ciebie Sarafanie?

— Nie jesteś mi potrzebna, Sasso, muszę jechać dalej! Gdy wyjdziesz z puszczy, będziesz własnością tego, komu się pierwszemu dostaniesz!

— Bylebym tylko wyszła z tej strasznej puszczy!

— Podaj mi rękę, niewolnico i siadaj na mojego konia... tak! Siądziesz ze mną!

Czerwony Sarafan podał Sassie rękę. Drugą ręką ujęła cugle i dosiadła wierzchowca, zajmując miejsce przed jeźdźcem.

— Wesoła z nas parka ha! ha! ha! — śmiał się Sarafan swoim zwyczajem, — naprzód! Musimy jechać!

— Masz słuszność! Gdyby cię wilki zwietrzyły, zginęlibyśmy oboje wraz z koniem.

Czerwony Sarafan popuścił cugli niespokojnemu i szeroko otwierającemu nozdrza koniowi.

Piękne zwierzę z podwójnym ciężarem lotem strzały puściło się przez puszczę i w parę godzin wyjechało z niej.

— Czy znasz tę wielką karczmę w pobliżu granicy, gdzie zatrzymują się podróżni, jadący do Turcji, albo powracający stamtąd? Tam możesz wypocząć, tam musisz się udać! Zawiozę cię na wielką drogę, a sam muszę jechać dalej!

Sassa zgodziła się na wszystko.

Wkrótce dojechali do drogi i Sarafan zatrzymał konia.

— Teraz zsiadaj i idź! Tam musisz się udać, — rzekł ujmując rękę ślepej niewolnicy, aby jej wskazać kierunek.

Sassa zsiadła.

— Dziękuję ci za twoją pomoc, Sarafanie! — rzekła, — może ci zdołam kiedyś odwdzięczyć to, coś uczynił.

Czerwony Sarafan odjechał.

Sassa stała na drodze i słuchała tętentu jego konia.

Następnie updła na kolana i wzruszającemi słowy, dziękowała Bogu za ocalenie.

Blizkim już był wieczór... Sassę dręczył głód i pragnienie.

Poszła w kierunku, który jej wskazał Czerwony Sarafan.

Po niejakim czasie, szczekanie psów oznajmiło jej, że się znajduje w blizkości jakiegoś budynku.

Była to karczma starego Kazimierza, o której jej mówił Sarafan, a która wówczas stanowiła jedyne miejsce wypoczynku dla podróżnych w całej tej części kraju.

Sassa zbliżyła się do wielkiego zabudowania, poza którem znajdowały się stajnie.

Dwa wielkie psy wybiegły, szczekając naprzeciw niej, nic jednak nie uczyniły biednej, opuszczonej niewolnicy, która bez przeszkody doszła do wielkiej bramy zajazdu.

Stary gospodarz wyszedł, ażeby zobaczyć co psy pobudziło do szczekania.

Gdy spostrzegł Sassę zadziwił się widocznie.

— Oho! dziewczyno! — zawołał, skądże to idziesz i dokąd to myślisz iść?

— Szukam schronienia, panie, posiłku i napoju, — odpowiedziała Sassa.

— Wszak jesteś niewidomą, dziewczyno?

— Tak jest panie, odpowiedziała Sassa i opowiedziała, uważnie słuchającemu Kazimierzowi skąd przybywa i co zaszło.

Przypatrywał się miłym i pomimo ślepoty zadziwiająco pięknym ruchom Sassy i nasunęła mu się pewna myśl.

— Możesz u mnie pozostać, — rzekł, wejdź! Potrzebuję służącej dla obsługi podróżnych.

— Daj mi jeść i pić panie, a będę ci wdzięczną, — odrzekła ślepa niewolnica.

— Żebyś tylko nie była ślepą, zauważył gospodarz.

— Niech się tylko dobrze obeznam z domem, panie, a nie zauważysz, że jestem ślepą!

Sassa widocznie spodobała się karczmarzowi, który ją zaprowadził do domu, mieszczącego kilka nizkich, ale ze szczególną wytwornością urządzonych pokoji, przeznaczonych dla bogatych podróżnych.

Nizkie sofy stały przy ścianach, dywany pokrywały podłogę, a na stołach znajdowały się ozdobne naczynia.

U sufitu największego pokoju, wisiała zapalona lampa.

Gospodarz oprowadził dokoła Sassę, która dotykała się wszystkiego swemi zręcznemi, drobnemi rączkami.

— Prędko się z tem obeznam, panie, — powiedziała.

— Chodź, posil się i napij przedewszystkiem, — rzekł Kazimierz i poszedł z nową swą służącą do kuchni, gdzie jej dano herbaty, chleba i mięsa.

Po przyjęciu posiłku, Sassa odzyskała siły.

— Jutro możesz rozpocząć służbę, Sasso, — rzekł do niej gospodarz, gdy się posiliła, — przez tę noc wypocznij. Gdyby przyjechał kto z podróżnych, ja go sam obsłużę. Chodź, zaprowadzę cię do twego pokoiku i dam ci inne ubranie, bo w tej szarej, biednej, przez ciernie poszarpanej sukience, nie możesz pozostać.

Kazimierz wziął Sassę za rękę i zaprowadził do pokoji, leżących za sypialniami podróżnych.

Pokazał jej łóżko dla niej przeznaczone, odzież, przyozdobioną na sposób wschodni, bogatemi, złotemi taśmami i szychem.

Następnie wyszedł i pozostawił Sassę samą w izdebce.

Miała więc teraz znowu schronienie.

Rozdział XXV.
Śpiew skowronka.

Pewnego dnia zajechał do zajazdu podróżny, którego powóz i konie oraz służba świadczyły, że musiał być nadzwyczaj bogaty.

Sądząc po koniach i po mowie, jakiej używał zdawało się, że to był jakiś znakomity Rosjanin.

Rzeczywiście ciekawy gospodarz dowiedział się wkrótce od służących, że ich pan był księciem, nazywał się Iwan Aminow i jechał do Konstantynopola, udając się w dalszą podróż.

Młody książę, był pięknym, smagłej postaci mężczyzną, nieco ekscentrycznego obejścia.

Według opowiadania służących, zamierzał on zwiedzić Warszawę, a następnie Wiedeń i Wenecję.

Bogactwa jego pozwalały mu zadawalniać każdy swój kaprys. Bawił przez długi czas w Stambule i tam sułtan okazywał mu wszelkie możebne względy.

Książę Iwan Aminow oświadczył, że zamierza przenocować w zajeździe i gdy mu Kazimierz pokazał przeznaczoną dla niego sypialnię, wszedł na chwilę do gościnnej izby przed udaniem się na spoczynek.

Rzucił się niedbale na kanapę i zażądał herbaty.

Po chwili wniosła mu ją Sassa.

Młody książę spojrzał ze zdumieniem na śliczną dziewczynę, której miłe i wdzięczne ruchy obudziły żywe jego zajęcie.

— Jak się nazywasz dziewczyno? — zapytał.

— Sassa, dostojny panie, — odpowiedziała ślepa niewolnica.

Czarowny dźwięk jej głosu jeszcze bardziej zapalił młodego księcia.

— Skąd pochodzisz, Sasso? — zapytał.

— Z Sziras, dostojny panie!

— Powinienem był to odgadnąć! Z Sziras pochodzą najpiękniejsze róże.

Sassa zarumieniła się i postawiła herbatę na marmurowym stole, za którym siedział książę, a następnie wyszła z pokoju.

Młody książę wypił herbatę, ale obraz dziewczyny stał ciągle przed wzrokiem jego duszy.

Wtem z przyległego pokoju, dał się słyszeć cichy śpiew.

Kazimierz kazał Sassie zaśpiewać dla rozerwania dostojnego gościa, jedną ze swych pieśni ojczystych.

Książę Iwan powstał i wsłuchiwał się.

Dźwięk śpiewu cichy i łagodny chwytał go za serce, a Sassa tego dnia śpiewała tak pięknie, jak może nigdy przedtem.

Tęsknie i cicho brzmiały ostatnie słowa pieśni.

— Cudownie! zachwycająco! — zawołał książę Iwan, — powiedz mi gospodarzu, — rzekł do Kazimierza, który stał w głębi, — kto to śpiewał tę piosenkę o szczęściu i gwiazdach?

— Sassa, ślepa niewolnica z Sziras dostojny panie, — umie ona także wiele innych piosnek daleko piękniejszych, naprzykład piosnkę o skowronku.

— Powiedz jej, żeby zaśpiewała, rozkazał książę.

Po chwili, dał się słyszeć dźwięk pieśni...

Młody książę Iwan Aminow był tym śpiewem tak zachwycony i przejęty, że oczy jego pałały.

— Kazimierzu! — rzekł, — odprzedaj mi tę dziewczynę, — żądaj ile chcesz, musi być moją!

— Jest mi potrzebną, dostojny panie!

— Muszę ją mieć, Kazimierzu, kupuję ją od ciebie! Mów cenę! Żądaj ile chcesz!

— Sto sztuk złota, dostojny panie, jest to wielka suma, ale za nią, nie dostanę takiej dziewczyny.

— Co to znaczy sto sztuk złota? Płacę ci dwa razy tyle! — zawołał książę Iwan.

Kazimierzowi zdawało się, że marzy, Sassa sprowadzała na niego deszcz złoty.

— Weź ją! dostojny panie, — rzekł.

Książę zawołał swojego marszałka.

— Dasz Kazimierzowi sakiewkę złota, — powiedział do niego.

W tej chwili Sassa weszła do pokoju.

Książę Iwan patrzył na nią z zajęciem i upojeniem.

Piękność jej i łagodność czarowały go.

— Sasso, — rzekł, — kupiłem cię od Kazimierza. Teraz jesteś moją Sasso.

— Skoro taka wola Boża dostojny panie!

— Jest to pobożna, czysta dziewczyna, dostojny panie, — mówił Kazimierz.

— Teraz, będziesz podróżowała ze mną Sasso, — mówił dalej książę Iwan.

— Jak rozkażesz, dostojny panie! Skoro jestem twoją niewolnicą, możesz ze mną robić, co ci się podoba, — odpowiedziała Sassa z niepodobnym do opisania smutkiem i tęsknotą w głosie, — możesz mnie kazać chłostać i wyszczuć psami!...

— Tego nie będzie, Sasso, skoro mi chcesz być powolną i posłuszną, — przerwał książę.

— Jestem twoją niewolnicą, dostojny panie i muszę cię słuchać. Panie Kazimierzu, dziękuję wam za wszystko, coście dla mnie zrobili i coście mi dali, — mówiła Sassa dalej przystępując do rozpromienionego otrzymaną sumą gospodarza.

— Dobrze, dobrze. Przyniosłaś mi szczęście Sasso, ale powiadam ci, że i ty także będziesz szczęśliwą, — odpowiedział Kazimierz.

— A teraz zaśpiewaj nam jeszcze jedną z twych pięknych piosnek, Sasso, — zawołał młody książę, — śpiewka o skowronku najbardziej mi się podobała i i zgadza się z twojem imieniem. Przecież w Sziras skowronek tak się nazywa.

— Tak jest, dostojny panie.

— A więc śliczny mój skowronku, zaśpiewaj mi jeszcze jedną piosnkę, niech mnie ona do snu ukołysze, a jutro rano odjedziemy.

Sassa, spełniła rozkaz i zaśpiewała jeszcze jedną piosenkę.

Gdy książę usnął, powróciła do swojej izdebki.

Księżyc rzucał blade światło na jej smukłą postać i na jej tęskne a tak piękne rysy.

Co się stać z nią miało? Co ją czekało? Jaki los nadal był jej przeznaczony?

Nazajutrz przygotowano powozy podróżne księcia.

Gdy młody książę wyszedł z domu, obejrzał się przedewszystkiem za Sassą.

Wsiadła ona do jednego z powozów służbowych.

Książę spostrzegł to i rozkazał, ażeby się przesiadła do jego karety i pojechała z nim razem.

Był to zaszczyt, jaki jeszcze nikogo ze strony dumnego księcia nie spotkał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ciekawe doświadczenia z pszczołami.

Pszczoły już od dawna należą do tych gatunków świata zwierzęcego, które człowieka wprawiają w zdumienie niesłychanie wysokim stopniem rozwoju. Pomimo niepozornej budowy ciała odznaczają się pszczoły zdolnościami, jakich nie spotykamy nawet u wielu znacznie wyżej pod względem budowy ciała rozwiniętych kręgowców. Jest to przedewszystkiem ich życie społeczne, które jest tak celowo i ciekawie urządzone, jak gdyby je urządził jakiś bardzo mądry prawodawca.

Wszystko odbywa się systematycznie i planowo, że baczny obserwator nie wychodzi z podziwu. To też cały szereg przyrodników poświęciło pracę nieraz całego życia swego, aby dokładnie poznać i wybadać życie tych drobnych owadów. Im więcej się jednak te stworzenia poznaje, tem ciekawsze objawiają one zdolności i tembardziej zagadkowe są ich źródła. Oto np. niedawno przedstawił prof. dr. Frisch na posiedzeniu bawarskiej akademji umiejętności pracę p. Ingeborga Beling o zmyśle czasu pszczół.

P. Beling karmił pszczoły na polu codziennej o pewnej oznaczonej godzinie, np. w południe ocukrzoną wodą. Po kilku dniach pszczoły tak dalece sobie zapamiętały ową godzinę, że o tej porze tłumnie się zbiegały na miejscu, w którem pokarm otrzymywały. Obserwacje poczynione, wykazały, że w ciągu całego dnia tylko pojedyncze pszczoły, jakby dla wywiadu, przylatywały na owo miejsce, a dopiero o danej godzinie zbierał się cały rój, poczem znów po upływie tego samego czasu wszystkie wracały do ula.

W ten sposób można było wytresować pszczoły na każdą dowolną godzinę. Skąd jednak pszczoły wiedzą, że nadeszła dana godzina? Aby na pytanie to odpowiedzieć, umieszczono ul w komorze o jednostajnem

sztucznem oświetleniu w dzień i w nocy. Równie i w tym wypadku tresura się udała i to na każdą godzinę dnia i nocy, chociaż pszczoły nie mogły się orjentować podług słońca. Musiały zatem poznać godzinę dnia podług jakiegoś innego czynnika, zmiennego wraz ze zmianą gdziny dnia. Takim np. czynnikiem jest przewodnictwo elektryczne powietrza. Zmienia się ono z każdą godziną, tak, że ono mogłoby być tym tajemniczym zegarem pszczół, którymby się w tym wypadku musiały odznaczać szczególną czułością na zmianę przewodnictwa elektrycznego powietrza, zapomocą preparatu radu, nie potrafiłaby pszczół zmylić i one dalej po dawnemu wiedziały o której godzinie je czeka pokarm.

Zegar pszczół jest zatem zupełnie niezależny od światła dziennego, ani też od jakiejś innej cechy atmosfery i one najwidoczniej noszą swój zegar w swym organiźmie. Jest to niezmiernie ciekawe zjawisko, którego nie możemy sobie w żaden sposób wytłómaczyć.

Zagadka staje się jeszcze niezrozumialszą, jeżeli zważymy, że nie udaje się absolutnie pszczół przyzwyczaić do pewnej chwili powtarzającej np. po upływie każdej dziewiętnastej godzinie. Tylko właśnie, każda 24-ta godzina, czyli ta sama chwila powtarzająca się po upływie pełnej doby, może się wpoić pamięć pszczół. Innemi słowy pszczoły mają zegar 24-godzinny, jaki dopiero niedawno ludzie wprowadzili.

Jest to zaiste jedno z najbardziej zagadkowych zjawisk przyrody, wobec których człowiek mimo wielkich sukcesów swego rozumu staje się bez możności dania odpowiedzi i które niejako przywołują go do większej nieco skromności...



Poradnik gospodarczy.

Już w sierpniu powinien dobry pszczelarz ułożyć gniazdo pszczołom do zimowania. Ma się ono składać w ulu słowiańskim 5—8 ramek, zaś w ulu amerykańskim tak ścieśnione, aby można założyć matę. W każdym razie — wielkość gniazda zależy od siły pnia i im pień silniejszy, tem większe należy zostawić gniazdo na zimę. A im pień słabszy, tem mniejsze. Pni słabych dobry pszczelarz nigdy nie zimuje, lecz łączy z innymi pniami.

Ale nietylko należy dobrze obliczyć wielkość gniazda, ale należało zbadać, czy pszczoły mają dostateczną ilość miodu. Pień słowiański powinien posiadać zapas miodu od 8—12 kg. Pień amerykański od 12—20 kg., zależy to również od siły pnia i sposobu zimowania. Brakującą ilość zapasów należy najdalej do końca września dodać. W braku zapasów miodu należy dodać gęstego syropu na 1 kg. cukru pół litra wody dobrze zagotować, zebrać szumowiny, dodać miodu i podać odrazu brakującą ilość na noc do pnia. Silny pień potrafi przez noc zabrać 5 kg cukru.

Wszelkie czynności w tym czasie w pasiece należy wykonywać bardzo ostrożnie, aby nie wywołać napadu pszczół. Pszczoły w tym okresie bardzo skore do rabunku, nie należy im więc dawać sposobności do niego. Wszelkie czynności podkarmiania najlepiej wykonać pod wieczór, kiedy pszczoła lotna już w ulu. Tylko w dnie pochmurne i deszczowe, kiedy pszczoła nie wylatuje, można w dzień bezpiecznie podkarmiać.

Ważną rzeczą jest, aby w tym czasie nie rolewać po pasiece cukru lub miodu, wszelkie zaś ślady syropu czy miodu należy natychmiast zasypać ziemią lub piaskiem. Nie należy w tym czasie zostawiać w pasiece woszczyzny lub narzędzi pszczelarskich zanieczyszczonych miodem, gdyż to może wywołać napad.

Oczka w ulach mają być już w tym czasie ścieśnione, wszelkie otwory zalepione gliną.

Każde niedbalstwo pszczelarza może sprowadzić napad jesienny, a gdy go pszczelarz nie zaraz spostrzeże, może utracić parę pni.

Miód w gnieździe ma być tak ułożonym, aby przedstawiał zwarty szereg plastrów miodowych. Pszczoły układają się do zimowli na wolnych komórkach, a dopiero w miarę zjadania miodu posuwają się całym kłębem w górę.

Gdy miód źle ułożony, pszczoły w czasie zimy nie mogą go dosięgnąć, giną z głodu, choć w ulu znajdują się duże zapasy. Miód na zapas zimowy powinien być szyty — ramki napełnione przynajmniej do połowy. Gniazdo układa się w sierpniu, ale ostatni termin ułożenia może być wrzesień, później nie można już nic grzebać w ulu, gdyż coraz zimniej i pszczoła drętwieje. Pszczoły na zimę kitują kitem każdą szparę, jeżeli im zburzymy to, wskutek zimna nie potrafią się po raz drugi tak dobrze zabezpieczyć i również często giną.

Zapóźne podkarmianie jest przyczyną zaperzania się pszczół. Pszczoły nie mogą już dobrze ułożyć zapasów i zasklepić uli, wskutek tego miód się psuje, fermentuje — kwaśnieje i pszczoły zaperzają się, a nawet giną.

Ważną rzeczą, aby pszczoły tak zabezpieczyć na zimę, aby im nie tamować dostępu świeżego powietrza.

Zimno nie tyle szkodzi, co brak czystego powietrza, gdyż w czasie silnych mrozów zjadają pszczoły więcej zapasów i te prędzej się wyczerpują — zaś z braku czystego powietrza pszczoły giną.

Silne opakowywanie pni na zimę jest więc zupełnie niepotrzebne i gdy tylko zapasy w porządku, to okładanie słomą uli zbyteczne. Dopiero od wczesnej wiosny należy trzymać pszczoły bardzo ciepło — gdyż to potrzebne do wykluwania się młodych i do szybkiego wzrostu siły pnia. Kto zaś zastosował się do rad powyższych, może być spokojnym — jego pszczółki dobrze przezimują i z wiosną brzękiem dadzą znać, jak dobrze im było. *Jan Matysik.*

Poradnik kucharski.

Lane ciasto. 1 jajo posolić, rozbić dobrze w garnuszku mątewką z dwoma łyżeczkami mąki, gdy już dobrze rozbite na jednostajną masę, lać na gotujący się rosół, lub mleko, gdy się zagotuje podać na stół.

Tarte ciasto. 1 jajo posolić, zagnieść z mąką na twarde ciasto, po należytem wyrobieniu utrzeć na tarce i rzucić na rosół lub zupę do której przeznaczone.

Makaron. Mąki tyle, ile zabierze jajo, posolić, zagnieść, by ciasto było twarde, wyrobić dobrze, rozwałkować cieniutko i zostawić tak, by przeschło trochę, poczem zwinąć w wałek i krajać bardzo cienkie paski, roztrzepać na stolnicy, wrzucić na gotującą się wodę, zamięszać, gdy na wierzch wypłynie i zagotuje się odcedzić, dać do rosołu, zupy lub mleka do czego przeznaczony.

W ten sam sposób robi się łazanki i kluski.

KRONIKA.

Napad wyrostków na procesję. Z Ropczyc donoszą: Onegdaj, gdy do kościoła parafjalnego w Zawadzie zdążały procesje, banda wyrostków rzuciła się na uczestników i przy pomocy kijów starała się rozpędzić biciem pobożnych i podrzeć chorągwie kościelne. Na krzyk napadniętych nadbiegła z Zawady ludność, przed którą zbrodniarze skryli się do lasu. Przywołana na pomoc policja aresztowała około 100 rozwydrzonych parobczaków.

Świętokradcy. Ze Lwowa donoszą: W ubiegły wtorek nadeszła do L owa z Żółkwi wiadomość o bezbożnym czynie zdziczałych osobników, noszącym ze względu na swoje rozmiary charakter systematycznego ataku na uczucia religijne ludności. W ciągu jednej nocy zniszczyli niewyśledzeni dotąd zbrodniarze wszystkie figury i krzyże w liczbie ponad 300 na drogach pomiędzy Żółkwią i Kulikowem z jednej strony i między Żółkwią a Dzibułkami z drugiej. Bezbożnicy porozbijali młotami wszystkie kamienne, przydrożne figury, zaś krzyże drewniane przepiłowali u podstaw. Wedle kursujących uparcie pogłosek, zbrodniczy czyn jest dziełem agitatorów „Selrobu“, uwijających się w powiecie żółkiewskim.

Zamach na pociąg osobowy. W nocy z wtorku na środę dokonano między stacjami kolejowemi Matyjowce i Zabłotów, na linji Lwów-Śniatyn, zbrodniczego zamachu na pociąg osobowy, idący w kierunku Śniatyna. Nieznani sprawcy ułożyli na torze kolejowym stos ogromnych głazów i kamieni. Parowóz, biegnącego w tem miejscu z góry pociągu, uderzył z olbrzymią siłą o przeszkodę.



Koła lokomotywy oraz dolna jej część uległy połamaniu. Pomimo częściowego wykolejenia, nikt nie odniósł szwanku. — Siła uderzenia była tak wielka, że w wagonach pospadały z półek prawie wszystkie bagaże. Wśród pasażerów powstało ogromne zamieszanie i panika. Znamiennem jest, że na tym samym odcinku kolejowym w roku ubiegłym w tym samym dniu, tj. 18 września, ujęto kilku młodocianych sabotażystów ukraińskich, uczniów gimnazjum kołomyjskiego, w chwili gdy zabrali się do obalenia przy pomocy pił, słupów telegraficznych, za co następnie zostali skazani w sądzie karnym we Lwowie.

Samobójstwo narzeczonych. Z Sosnowca donoszą: Onegdaj w godzinach przedpołudniowych po sprzeczce z rodzicami targnął się na swe życie 19 letni czeladnik, Jan Pasterczyk, wypijając większą ilość kwasu solnego. W stanie bardzo groźnym przewieziono go do szpitala P. K. Ch., gdzie mimo natychmiastowej pomocy, nieszczęśliwy walczy ze śmiercią. O samobójstwie Pasterczyka dowiedziała się jego narzeczona, 16 letnia Stanisława Mucha, która przybiegła do szpitala, celem zobaczenia się może poraz ostatni z narzeczonym. Widząc beznadziejny stan ukochanego, którego trawiła straszna gorączka, zrozpaczona dziewczyna, nie mogąc przeżyć śmierci ukochanego, postanowiła odebrać sobie życie, Zaopatrzywszy się w dwie butelki esencji octowej, udała się na pobliskie łąki i tu wychyliła zawartość butelek do dna. Wypadek wywołał wstrząsające wrażenie w całem mieście.

Zemsta wierzyciela. Z Warszawy donoszą: Do komisarjatu policji złożył kupiec warszawski p. Mendelson następującą skargę: W czerwcu br. pożyczyłem od kupca p. Cwajfisza kwotę 100 dolarów na skrypt dłużny. Długu w oznaczonym terminie nie mogłem zwrócić, wobec czego Cwajfisz zaskarżył pretensję do sądu. Obok jednak drogi sądowej, wierzyciel mój obmyślił iście szatański plan zemsty. Ogłosił w pismach warszawskich, że jest w moim sklepie posada do objęcia, ale tylko dla kaleki. Od tego czasu tłumy rozmaitych kalek ze wszystkich możliwych instytutów i przytułków masowo oblęgają mój sklep od wczesnego rana do późnego wieczora, utrudniając dostęp klienteli“. Policja postanowiła wysłać posterunek policyjny przed sklep p. Mendelsona, aby w ten sposób uwolnić go od zemsty wierzyciela.

Skomplikowany wypadek samochodowy. W Poznaniu zdarzył się niezwykle skomplikowany wypadek samochodowy. Pewien szofer, chcąc wyminąć jadącego rowerzystę, skręcił tak fatalnie, że obalił i poranił przechodzącą ulicą kobietę nazwiskiem Łukaszczyk, która ma złamane żebra, a następnie wpadł na latarnię uliczną. Skutkiem gwałtownego wstrząsu z latarni spadł klosz i zranił przechodzącą obok pannę Rybarczykównę, która ponadto wskutek upadku uległa złamaniu nogi. Niedość jednak na tem. O latarnię stał oparty rower, który przewracając się, wywrócił wózek dziecięcy z niemowlęciem, a ten znów przygniótł idącą obok niego trzyletnią dziewczynkę. Wszystko to trwało zaledwie kilka sukund.

Nieznana choroba u zwierząt. Z Bydgoszczy donoszą: W Mroczy grasuje od pewnego czasu wśród nierogacizny niespotykana dotychczas epidemja. Zwierzęta nagle zapadają na tę chorobę, która od pierwszej chwili przybiera bardzo ostry przebieg, poczem po trzech dniach zdychają. Charakterystycznem jest, że po zgonie ciało dotkniętych tą chorobą zwierząt czernieje. Specjalnie duże spustoszenie wyrządziła epidemja ta wśród świń. W niektórych posiadłościach i majątkach ziemskich padło dotychczas ofiarą zarazy po 50 i więcej sztuk świń.

Sprytna ucieczka więźnia. Wielką sensację wywołała w Wilnie wiadomość o niezwykle sprytnej ucieczce z więzienia groźnego bandyty Dreka. Sprowadzony do aresztu centralnego, odgrażał się on, że ucieknie, osadzono go więc z wielkiemi ostrożnościami w pojedynczej celi. Onegdaj późno w nocy dyżurny dozorca usłyszał w celi Dreka przeraźliwe jęki. Zapytany o powód Dreko z odpowiednią mimiką i gestykulacją uskarżał się na bóle żołądkowe, poczem udał atak konwulsji. Wobec tego jeden z policjantów wyszedł z nim na podwórze do miejscowej ubikacji. Gdy Dreko znalazł się sam na sam z konwojującym, rzucił się na niego i zadał mu straszny cios w głowę, od którego policjant padł nieprzytomny na ziemię. Dreko zniknął wtedy w ciemnościach. Na powstały alarm cała straż rzuciła się w pogoń, ale bezskutecznie, Dreko bowiem uciekł przez głęboki rów, który robotnicy kanalizacyjni wykopali pod murem. Rów ten Dreko zauważył na podwórzu więzienia i wykorzystał go do ucieczki.

Odnaleziony skarb w Wilnie. W jednem z mieszkań przy ul. Zygmuntowskiej w Wilnie znaleziono umiejętnie zamaskowaną kasę pancerną, stanowiącą własność przed wojną dzierżawcy tegoż mieszkania, jakiegoś rosyjskiego dygnitarza. Po otwarciu kasy znaleziono sznury pereł i nieobrobione kamienie szlachetne. Obecny właściciel mieszkania zameldował o tem policji, która zabezpieczyła skarb i zawiadomiła władze skarbowe. Skarb oszacowany jest na sumę 4 miljonów zł. Bogactwa te przeszły na własność skarbu państwa. Obecny właściciel mieszkania wszczął starania o uzyskanie części odnalezionego skarbu.

Upadek z wieży kościelnej. Z Koszyc donoszą: Niezwykle tragicznemu wypadkowi uległa w Koszycach pewna młoda nauczycielka, Małgorzata Janeczek. Zwiedzając wraz ze swą przyjaciółką katedrę, wyszła na wieżę kościelną. Przechyliwszy się nieostrożnie przez kratę, straciła równowagę i spadła z wysokości 60 m., ponosząc śmierć na miejscu.

Zniekształcone bliźniaki. W Judenburgu, niedaleko Gracu pewna kobieta porodziła dziecko, które miało dwie głowy, dwie pary rąk i trzy nogi. Jest to niedokształcone ciało bliźniaków, zrośniętych z sobą. Przyszły na świat nieżywe.

Cholera w Grecji. Pisma wiedeńskie donoszą z Aten, że w Salonikach i okolicy wybuchła cholera. Wśród ludności powstała panika. Władze zamknęły zagrożone miejscowości i nie pozwalają na wyjazd z nich.

Pożar na powierzchni fal morskich. W porcie czarnomorskim, Konstancy, zapaliła się od wyrzuconego papierosa nafta, rozlana na przestrzeni kilku kilometrów na powierzchni morza. Pożar przybrał tak gwałtowne rozmiary, żo okręty, znajdujące się w porcie, musiały coprędzej uciekać przed niebezpieczeństwem. Parowiec hiszpański „Hermes“ nie mógł wydostać się z morza płomieni i omal, że nie uległ pożarowi. W ostatniej chwili uratowały go kursujące statki ratownicze. Straty parowca „Hermes“ są bardzo wielkie.

Powrót nieboszczyka. Niezwykły wypadek „zmartwychwstania“ wydarzył się niedawno w Birkenfeld w Lotaryngji. We wrześniu 1894 r. znikł nagle w tajemniczy sposób p. Schley, liczący wówczas 36 lat. W jakiś czas potem znaleziono w lesie sąsiednim szkielet, który rozpoznano jako zwłoki Schley'a. Żona Schley'a również stwierdziła identyczność. Szkielet został pochowany kosztem rodziny, która odwiedzała odtąd nabożnie grób. Przed kilkoma dniami p. Schley wrócił do Birkenfeldu. Oświadczył on, że przyjeżdża z Ameryki, gdzie zdobył duży majątek. W towarzystwie kilku kolegów z lat dziecinnych, dzisiaj już liczących około 70 lat, udał się p. Schley na swój własny grób.

Kościoły na kołach. Na oryginalny pomysł „wakacyjny“ wpadł konsystorz biskupi w Nassau, w Niemczech. Obserwując ogromne zmniejszanie się frekwencji wiernych na nabożeństwach w czasie wakacji, kiedy zarówno młodzież, jak i starsi zażywają wywczasów za miastem, konsystorz biskupi postanowił fakt ten odpowiednio wyzyskać. Dokonano tego przez zbudowanie na samochodach ciężarowych kilku kaplic, które w niedzielę i święta objeżdżały wszystkie liczniej uczęszczane miejscowości letniskowe, zatrzymywały się w każdej i przy takim polowym, a ruchomym ołtarzu odprawiano nabożeństwa.

Trucicielka czy obłąkana? W oddziale kryminalnym policji berlińskiej zgłosiła się onegdaj młoda 26-letnia dziewczyna niejaka Anna Kleinówna, oświadczając, że ma na sumieniu pięć morderstw, których dokonała przy pomocy trucizny. Kiedy urzędnik policyjny uśmiechnął się niedowierzająco, podejrzewając, że ma do czynienia z umysłowo chorą, złożyła ona bardzo obszerne i szczegółowe zeznania, kiedy i w jakich okolicznościach dokonała zbrodni, o które się oskarża. Kleinówna podała, iż czterech morderstw dokonała w Baden w Bawarji, a mianowicie na osobach narzeczonego swej przyjaciółki, na wtajemniczonej w te zbrodnie przyjaciółce, jej dziecku. oraz na swej babce. Ofiarom swym podała ona w jedzeniu i napojach cjanek potasu. Piątego morderstwa dokonała Kleinówna w Berlinie na osobie pewnego młodego cudzoziemca, z którym utrzymywała bliższe stosunki. W czasie przejażdżki samochodem w okolice Berlina podała mu ona — jak twierdzi — truciznę w winie, poczem, zrabowawszy mu kilkaset marek, zbiegła. Policja berlińska odnosi się do tych sensacyjnych zeznań z rezerwą. Władze śledcze zwróciły się telegraficznie do podanych miejscowości o bliższe informacje dotyczące zeznań Kleinównej. Kleinówna zatrzymana została w aresztach i poddana pod obserwację.

Zwarjował mąż z żoną. W ubiegłą środę w wiosce, połżonej niedaleko Medjolanu, zdarzył się bardzo przykry wypadek; zwarjował tam wójt wioski wraz ze swą małżonką. Było to w kościele podczas mszy świętej; w pierwszym rzędzie siedział wójt z żoną. Nagle oboje zaczęli poruszać się bardzo niespokojnie na ławce, rzucili się na odprawiającego mszę kapłana, zerwali z niego ornat i zajęli groźną postawę wobec reszty w kościele. Wobec tego nabożeństwo trzeba było przerwać, a ludzie w pośpiechu wyszli z kościoła. Nikt jednak nie wiedział, w jaki sposób dać sobie radę z szaleńcami i zmusić ich do opuszczenia kościoła. Wtem jeden z wieśniaków wpadł na doskonały pomysł. Wiedział on mianowicie, że wójt jest zamiłowanym strażakiem i na tem postanowił oprzeć cały swój plan. Pobiegł więc do domu, wziął mundur dowódcy straży i przyszedł w nim do kościoła, a stanąwszy przed warjatem, zawołał: baczność, w tył zwrot marsz! Wójt, który dotąd koziołkował się na podłodze, nagle zerwał się, wyprostował i poszedł za dowódcą straży krokiem uroczystym. Żona wójta szła za nim aż do szpitala, skąd oboje przewieziono do domu warjatów.

Trzynastoletni detektyw. W Londynie zakończył się proces, w którym wielką rolę odegrał 13-letni Leonard James Gidd. Chodziło o kradzieże samochodów. Niejaki Harris, 43-letni mechanik, Backer i 27-letni inżynier Callis byli oskarżeni o kradzież samochodu. Harris i Backer skradli już przedtem 3 samochody, pozostawione bez nadzoru na ulicach Londynu. Callis zaś miał już podobno 6 samochodów na sumieniu. Sędzia oświadczył, że wyśledzenie bandytów jest wyłączną zasługą małego Gidda, który obydwóch łotrów złapał na gorącym uczynku i oddał policji. Chłopak zauważył, że Harris i Backer kręcą się koło cudzego samochodu, powziął podejrzenie i zanotował sobie numer samochodu na pudełku zapałek. Backer spostrzegł jednak manewr chłopca, wytrącił mu pudełko z ręki i odjechał szalonym pędem. Lecz malec zapamiętał sobie mumer, doniósł o wypadku najbliższemu policjantowi, ten zaś uwiadomił o wszystkiem swych przełożonych, którzy polecili śledzić wymieniony wóz. W przeciągu jednej godziny udało się ująć samochód i aresztować trzech złodziei, gdyż Callis przyłączył się tymczasem do nich. Harris, herszt bandy jest jednym z najlepszych kierowców w Londynie, znanym dzięki swej odwadze i dzielności w tej dziedzinie. Obecnie przez 4 lata nie będzie się mógł poświęcać swemu zawodowi, podczas gdy Backer posiedzi w więzieniu 20 miesięcy. Callis zaś rok. Jesteś tęgim chłopcem — oświadczył po ogłoszeniu wyroku przewodniczący trybunału Giddowi. — Mam nadzieję,

że i w dalszym ciągu będziesz oddawać policji usługi, dzięki twojej inteligencji i zdolności obserwacyjnej. Za tę drobnostkę — tu wręczył mu 10 funtów w złocie – masz sobie kupić jakąś pamiątkę na dowód twojego pierwszego występu, jako amator-detektyw.

Niebezpieczna operacja. W poprzednim numerze „Roli“ pisaliśmy już o niebezpiecznej operacji, jakiej zdecydowały się poddać dwie „siostry syjamskie“, Marja i Małgorzata Gibbs, mianowicie operacji rozcięcia zrośniętych ze sobą od urodzenia ciał. Świat z ciekawością oczekuje na wynik tej operacji, której dotąd doktorzy podjąć się nie chcieli, orzekając z góry śmierć obu sióstr a conajmniej jednej z nich. Młody amerykański chirurg Dr Francis P. Weston tej operacji ma się podjąć ze skutkiem, jak przypuszcza, pomyślnym. Obie te siostry są piękne i na operację się zgodziły głównie z powodu chęci wyjścia za mąż jednej z nich po udanej operacji. Obok podajemy podobiznę tych zrośniętych z sobą sióstr w kwiecie wieku. Liczą bowiem po 17 lat.



Dziecięca rewolucja. W jednej z moskiewskich ochronek Kurpiowaja wybuchła niedawno czwarta z rzędu, w ciągu zaledwie trzech miesięcy, rewolta, znajdujących się w niej sierot. Dwustu „wychowanków“ zdemolowało wewnętrzne urządzenie ochronki, a następnie podpaliło budynek. Dziecięca rewolucja miała podłoże ekonomiczne: pod adresem zarządu ochronki wysunięte zostały żądania lepszego pożywienia, ubrań, bielizny i pościeli. Gdy zarządzający odrzucił te żądania, tłum jego „wychowanków“, rekrutujących się z dzieci bezdomnych, uzbrojony w fińskie noże, kije i kamienie, rzucił się na niego, pobił i zaczął demolować urządzenia ochronki. Wszelkie interwencje zawiodły. Jak widać, władze sowieckie mają poważny kłopot ze swymi najmłodszymi wychowankami, którym jakoś niezupełnie odpowiadają socjalne urządzenia sowieckiego raju!

Żona za 120 rubli. „Trybuna Radziecka“, która wychodzi w Moskwie, podaje o niesłychanym fakcie sprzedaży własnej żony przez ukraińskiego chłopa. Niejaki Połoński Mikołaj ze wsi Hrubieszówka pod Płoskirowem — a więc niedaleko polskiej granicy — uprzykrzył sobie towarzystwo żony swej Akuliny, a potrzebując gotówki — postanowił ją sprzedać. Wkrótce znalazł nabywcę w osobie swego brata ciotecznego Iwana Połońskiego. Po dłuższym targu ugodzili się na cenę za żonę, która wynosiła 120 rubli, wóz drabiniasty i parę butelek wódki. I zapewne ten objaw moralnego zdziczenia chłopa ukraińskiego zostałby wiadomym tylko w granicach jego wioski — gdyby nie to, że obaj handlarze żonami zażądali spisania urzędowego aktu tej sprzedaży i nabycia kobiety w gminnym urzędzie milicji. Komendant posterunku nie znalazł w żądaniu tem cech nielegalności i akt taki sporządził, opatrując go wszystkiemi pieczęciami urzędowemi. Korespondent pisma sowieckiego opisuje dalej, jak na wieść o sprzedaży żony przez męża Połońskiego cała wieś wyległa na ulicę, żeby oglądać scenę targu na kobietę. Ale nikt się nie znalazł, ktoby się czynnie temu przeciwstawił. Jedynie prezes gminnego sowietu Sowa odmówił podpisania się pod wymienionym wyżej aktem. Korespondent przytacza to — jako jedyny odruch protestu — w wielkiej wsi przeciwko zdziczeniu bolszewika. Ta bierność i żądna niezdrowej sensacji ciekawość, gorzej jeszcze potępia obyczajowość współczesnej wsi ukraińskiej, niż sam fakt ohydnego handlu własną żoną i gorzej nawet, niż urzędowe potwierdzenie przez milicjanta tego dokumentu moralnego zdziczenia, do którego doprowadził właściwie ustrój komunistyczny.

Huragan w Ameryce. Doniesienia amerykańskie o przerażającym orkanie, który przez 5 dni szalał nad wyspami Indyj Zachodnich i Florydą, dowodzą, że była to katastrofa od dawna niepamiętnych rozmiarów. Szkody na samej wyspie Portorico przekraczają 100 milj. dolarów. Połowa dwumiljonowej ludności jest bez dachu. Kilkaset tysięcy ludzi wprost umiera z głodu, gdyż nie mogą dostać ani wody ani pożywienia. Wobec zniszczenia wszelkich urządzeń sanitarnych grozi mieszkańcom wyspy zaraza. Ilość zabitych znacznie przekracza 1000. Na francuskiej wyspie Guadelupa zginęło 300 ludzi. Na wyspach, należących do Anglji zginęło 55 osób. Na wybrzeżu Florydy 2 osoby. Jedną ze szkół Boyton w zachodniej części Palme Beach orkan zburzył, grzebiąc pod gruzami 40 dzieci.

Nie dała mu się ożenić. W amerykańskiem mieście Grimby przebywa zamożna rodzina nazwiskiem Logan. Obecnie państwo Logan są do tego stopnia ośmieszeni, że o historji tej rozpisały się wszystkie dzienniki amerykańskie. Mianowicie pani Logan ma syna jedynaka, który liczy 21 lat, lecz z którym obchodzą się rodzice jak gdyby miał lat 10. Młodzieńcowi temu nie wolno ani krok oddalać się z domu bez pozwolenia i ścisłej kontroli rodziców, którzy najczęściej wychodzą z nim razem. Mimo tak ścisłej kurateli zdołał syn poznać pewną panienkę, zakochać się w niej, oświadczyć się, a nawet... przyjść do kościoła na ślub — i to wszystko bez wiedzy rodziców. Znalazł się jednak usłużny kolężka, który uprzedził rodziców o odbywającym się ślubie ich syna z ubogą panienką. Na tę wiadomość matka nieszczęśnika wybiegła w negliżu z mieszkania, wpadła do kościoła, przerwała ceremonję zaślubin, wyprowadzając syna za ucho i zawołała:

— A ty mały wisusie, natychmiast wracaj mi do domu!

Widok matki w negliżu, prowadzącej z przed ołtarza pana młodego za ucho był tak pocieszny, że zgromadzeni, zapominając o powadze miejsca, wybuchnęli głośnym śmiechem. Narzeczona wraz z matką pod wrażeniem zdarzenia zemdlały.

Dzika zemsta. Robert Jacobson „obiecujący młodzieniec“ z Westplains (Missouri) w Stanach Zjednoczonych, uchodził za „pożeracza serc“ niewieścich, ku czemu miał prawo, będąc młodym, urodziwym, a w dodatku właścicielem wspaniałych stadnin. Nic też dziwnego, iż niezwykle boleśnie odczuł postępek Miss Doroty Ebers, która nietylko, że mu dała kosza, ale zaręczyła się z odwiecznym wrogiem Roberta, Jonatanem Clavainsem, mistrzem rzeźnickim. Robert postanowił zemścić się. Ustawił piekielną maszynę w sali tańca. W niewielkim lokalu tańczyło 100 par, przy dźwiękach muzyki, a między gośćmi znajdowała się Dorota ze swym narzeczonym Jonatanem. Nagle nastąpiła eksplozja. Piekielna maszyna rozszarpała 23 osoby, a zraniła drugie tyle. Dorota i Jonatan uszli cało, bowiem w chwili wybuchu znajdowali się w bufecie. Zbrodniarz umknął w dzikie zarośla.

RZECZY CIEKAWE.

W głębi oceanów.

Głębie oceanów są najmniej zbadaną dziedziną naszego globu. Wieści z tej tajemniczej krainy dochodzą nas z ust nurków i badaczy i to tylko niewielkich głębokości, gdyż olbrzymie ciśnienie masy wód czyni przeważnie niedostępnem dno oceanu.

W przepaściach tych żyją stwory, których wyobrazić sobie nie może najbujniejsza fantazja człowieka. Oto co mówi o tem jeden z najbardziej znanych znawców głębi morskiej F. A. Mitchel Hedges:

„Na pytanie, czy wierzę w istnienie w głębiach oceanu stworzeń, przechodzących ludzkie wyobrażenie, odpowiadam stanowczo — „tak". I dodaje, iż pewny jest, że „w głębi wód znanych i nieznanych istnieją gatunki, różniące się niewiele od potworów z przed lat miljonów".

I oto na spotkanie z temi potworami raczej z ich najbardziej słabymi przedstawicielami narażony jest przedewszystkiem nurek. Tajemnicze przedpotopowe stwory, o jakich wspomina Hedges, żyją w głębokościach, do których dotychczas żaden nurek dotrzeć nie był w stanie, ale i w zbadanych już głębinach zdarza się często, iż nurek zmuszony jest stoczyć walkę na życie i śmierć z niejednym drapieżcą wodnym. Osławione rekiny nie są jednak najgroźniejszym wrogiem człowieka, inne potwory są mniej trwożliwe i skore do bezwzględnego ataku.

Przed rokiem u wybrzeża angielskiego jeden z kąpiących się został pochwycony za nogę i wciągnięty w głębie przez olbrzymiego węgorza morskiego (conger), którego waga dochodziła do centnara. Spotkanie takie miał w zatoce Tobernory-Bay nurek Mackenzie. Wyciągnięto go z wody na pół żywego.

Niemniej straszny jest napad t. zw. „czarciej ryby", nacierającej z błyskawiczną szybkością i posiadającej olbrzymi pysk, najeżony rzędami ostrych i wielkich kłów.

Raje wagi 500 funtów nie są rzadkością, a uderzenie ich ogona posiadającego coś w rodzaju jadowitego żądła, kończy się śmiercią. Przed paru laty znany nurek francuski Cappadon, podczas naprawiania kabla w pobliżu Tulonu został napadnięty przez raję. Gdy na rozpaczliwy sygnał wyciągnięto go z wody, kauczukowy jego ubiór porwany był na strzępy. Zdarzenie to podziałało tak przygnębiająco na tego znanego z odwagi człowieka, że na dłuższy czas porzucił swój niebezpieczny zawód.

Mimo niebezpieczeństw mocny duch człowieka zdobywa nieustraszenie metr po metrze coraz głębsze otchłanie oceanu.

Największy most.

Największym wiszącym mostem świata i jednym z najwspanialszych dzieł sztuki inżynierskiej ostatnich lat jest most na rzece Delavare, łączący Filadelfję i Camden. Zbudowany kosztem około 37,000.000 dolarów i otwarty 4 lipca 1926 roku, ten olbrzym budowlany przenosi pod względem rozmiarów wszystkie inne mosty tego samego typu. Pod względem technicznym jest to dzieło wybitne. Rozpiętość od filaru do filaru wynosi 533 metry, całkowita długość 2.913 metrów, całkowita szerokość 38 metrów, wyniesienie nad śradni poziom wody 41 metrów przy korycie szerokim na 244 metry. Szczyty wielkich wież wznoszą się na 130 metrów ponad wodą. Jezdnia ma szerokości 17 metrów, składa się z 4-ch szlaków tramwajowo-kołowych i dwóch chodników, z tych każdy o 3 metrach szerokości.

Most ten odznacza się dwukablową konstrukcją w odróżnieniu od cztero-kablowego systemu, zastosowanego we wszystkich innych niedawno zbudowanych mostach wiszących. Kable mostu-olbrzyma, mające 76 cm. średnicy, są półtora raza grubsze niż najgrubsze kable używane w dawniejszych konstrukcjach (Most Manhattan). Nadają one mostowi większą prostotę strukturalną niż przy cztero-kablowym systemie i każdy składa się z 18.666 galwanizowanych drutów stalowych o średnicy równej 5 mm. Cal kwadratowy tego drutu wytrzymuje 22.000 funtów obciążenia.

Golona małpa.

W Indjach małpy wyrządzają nieraz znaczne szkody, to też nie są zbyt mile widziane przez tubylców. Ci, aby się uwolnić od natrętnych rabusiów wynaleźli radykalny sposób pozbycia się ich. Urządzają więc wilcze doły, przykrywają je gałęziami i liśćmi, aby złapać w ten dół przynajmniej jednego samca. Gdy niebaczny wpadnie do takiego głębokiego dołu, wówczas zarzucają mu na głowę worek, kilku mężczyzn trzyma wydzierającą się małpę, a jeden goli ją z włosów. Następnie ogoloną małpę malują na niebiesko i puszczają na wolność. Skutkuje to radykalnie, nie było jeszcze wypadku, aby po takiej operacji wszystkie małpy nie wyniosły się raz na zawsze z tej miejscowości. Widocznie małpy uważają taką operację za ciężką zniewagę, i aby jej uniknąć, wolą przenieść się do innej miejscowości.

Dzieje widelca.

Karol V-ty posiadał 150 misek i kubków złotych, więcej jak sto tuzinów półmisków srebrnych, lecz miał tylko sześć widelców. Jest to jeszcze jeden dowód, że dawni panowie — kochając się w zbytkach — gardzili wytwornością. Rujnowano się na wspaniałe złote i srebrne zastawy, jedna uczta składała się z trzydziestu co najmniej wyrafinowanych dań, które — ze wstydem przyznać trzeba — książęta i księżniczki — jadali palcami.

Wielcy panowie — z pełnej przepychu epoki odrodzenia — odziani w aksamity, jedwabie i złoto, wybierali trzema palcami, tak jak tego ówczesne dobre ułożenie wymagało, ze złotego półmiska upatrzone kawałki, następnie dzielili je nożem w kąski i znów do ust kładli palcami.

W siedemnastym wieku ukazuje się po raz pierwszy widelec na dworze francuskim — co wywołuje ogólne zgorszenie i skandal. Zwyczaj używania widelca nazywano wyrafinowanym sybarytyzmem, a przywiązane do tradycji wysoko sytuowane osoby, surowych zasad, z oburzeniem potępiały tę inowację. Nawet król-słońce Ludwik czternasty rzadko posługiwał się widelcem.

Oryginalne kapelusze.

Najcięższe kapelusze na świecie dźwigają na głowie tragarze rynku rybnego Billinsgate w Londynie. Są to olbrzymie kapelusze, ważące po 4 funty, a mające na celu zmniejszenie ciśnienia ciężkich skrzyń z rybami, które tragarze przenoszą na głowach do miejsc przeznaczenia.

Kapelusz taki sporządzony jest ze skóry i materjału filcowego, przyczem między górną powłoką z grubej skóry z filcem umieszczona jest wkładka w postaci mocno wypchanej poduszki. Krawędź kapelusza posiada również prawidłową rynnę do odprowa-

dzania wody ściekającej ze skrzyń. Wśród wspomnianych tragarzy rozpowszechniony jest osobliwy zabobon, że takiego kapelusza nie wolno oczyszczać ani naprawiać, gdyż w przeciwnym razie szczęście opuszcza jego posiadacza.

Rozwój miast amerykańskich.

Wedle ostatnich zestawień ludność Nowego Jorku wynosi 6,015.000 osób, co oznacza wzrost o 405.000 w ciągu ostatnich 8 lat, a o 2,578.000 od roku 1900.

Chicago ma 3,056.000 mieszkańców (od r. 1920 wzrosło o 250.000). Dalej idzie Filadelfja (2,064.000, w r. 1920 — 1,823.000), Detroit 1,380.000 (przed 8 laty 993.000) i Cleveland 1,008.000 (w r. 1920 — 796.000).

Podano tu miasta wschodnich Stanów. Jeszcze szybszy był wzrost miast zachodu (San Francisco, Los Angelos), co do których jednak na razie niema dokładnej statystyki populacyjnej.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Marjan Skora:** Utwór p. t. „Jesienne łzy" zupełnie dobry, ale nie dla „Roli". — **J. M.** z K.: Z zagadek skorzystamy. — **Wincenty Kuglin** z K.: Otrzymaliśmy. — **Dominik Bielak** w Ch.: Możliwe, ale to taki drobiazg, że nań nie warto zwracać uwagi. Z zagadek skorzystamy. — **Franciszek Swaczyna** w S. G.: Zagadki dobre — pójdą w miarę miejsca. — **St. Strojmirski** w K.: Nadesłany nam utwór nie nadaje się do „Roli". — **Karol Miazga** w N.: Do druku trzeba pisać bardzo czytelnie, dawać w właściwych miejscach znaki pisarskie i pisać tylko po jednej stronie papieru, zostawiając nadto dość miejsca na możliwe poprawki. Na przepisywanie bezwarunkowo czasu nie mamy i dlatego nieraz nawet dobre utwory idą do kosza. — **Józef Waga** w B.: Niech nam Pan ten utwór prześle, zobaczymy. Za wszystkie numera 4 zł. 40 gr. Adres zmieniony.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Augusta Wagnerówna ze Szczakowej 2 zł. dla Maćka, Józef Jórasz z Korczyny 3 zł. dla Maćka, Władysław Przybyłowicz z Szarleja 80 gr.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 21 września b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·08 do 1·59 zł.	Jałownik	od 0·94 do 1·61 zł.
Woły	od 1·05 do 1·72 zł.	Cielęta	od 1·75 do 2·40 zł.
Krowy	od 0·76 do 1·40 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·45 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 do 3.10

Wszyscy nowi Prenumeratorzy chcący mieć całość znajdujących się w numerze powieści mogą nabyć wszystkie numera „Roli" od półrocza z początkami tychże powieści. Należytość można nadsyłać znaczkami pocztowemi. Kupujący „Rolę" w agencjach mogą je zamawiać przez agencje.

Zagadki do nagrody.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

1. Łamigłówka.

■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = laska.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = kopyto.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = rozgrywka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = tworzy piasek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = żona orła.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = stoi w kącie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = słuszność.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = zdrob. imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = żyd. imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = dużo mówi
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = płaci.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = dopływ Wisły.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = służy do świecenia.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = zdrob. imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = nakrycie głowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = moździerz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = ruń.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ a = kochanki wstecz.

W miejsce kwadracików czarnych i gwiazdek powstawiać odpowiednio litery, z których powstanie 19 wyrazów, kończących się na „a" początkowe zaś litery czytane z góry na dół, dadzą głośny wypadek w wojnie europejskiej.

2. Szarady.

I.

Chociaż nie udatne w szaradzie me wiersze
Gdy komu coś daję, mówię wtenczas [pierwsze.
Druga z trzecią do morza odprowadza wody
Trzecia z drugą są dla matki srogie koro- [wody
I tylko na ten czas mają swe znaczenie
Skoro zacznie płacić rózgą swej dziecinie.
Przecie czwarte to ptaki, w powietrzu latają
I jak niektórzy bają — to o deszcz wołają
Całość dosyć często słyszymy u ludzi
Czasem nawet tak wielkie, że aż litość [zbudzi.

II.

Dziwna to szarada, ma tylko dwie zgłoski,
A jednakże całość to wyraz żydowski.
Pierwsza to podobno zaimek oznacza
Druga zaś częstokroć granice przekracza.
Zwłaszcza, gdy na sali jest Kaśka i Bzdura
Muzyka raz po raz rżnie „Polki mazura".

III.

Człowiek nieszczery, to pierwsza i czwarta
Pierwsza i trzecia czasem dużo warta,
Pierwsza i pół drugiej jest to ptak domowy
Druga i trzecia to produkt surowy.
Całość jest to ptak ma dziką naturę
Samą trzecią żegnam pana Maćka Bzdurę.

IV.

Druga czwarta litery, piękna czwarta trzecia
Zdobi nietylko płeć piękną, ale i waszecia,
Pierwsza z czwartą nie chleb, a jednak [jedzenie
Pierwsza z trzecią znowu nocne utrapienie
O całość nie pytaj na wsi w dymnej chacie
Ani wspak trzeciej wprost czwartej mój [bracie
Znajdziesz ich w domach majętnych, mó- [wię ci to śmiele,
Są bardzo wygodne, nie kosztują wiele.

3. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Piotr Wenc z S.).

a	a	a	c	Imię męskie
c	e	e	i	Zastępuje chleb
i	i	k	k	Imię żydowskie
l	l	m	m	Kwiaty

Rząd pierwszy pionowy i poziomy dadzą jednakie imię.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6 października b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 38 „Roli": 1. Logogryf: Artur Grottger. Pochód na Sybir. 2. Szarady: I. Jarmarki, II. Orlątko, III. Świtanie. 3. Układanki: I. Kobyła ma mały bok. II. Osoba a boso. 4. Łamigłówki: Jama-mama, korek-worek, Jena-Lena, kurek-Turek, ból-sól.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Piotr Wenc z Ś., Wł. Szwabowicz z K., Franciszek Swaczyna z S. G., A. Dudzik z P., Dominik Bielak z Ch., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Jan Gara z W. i Tadeusz Kwerka z W.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Gara z W. i A. Dudzik z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Zimna krew.

Rzecz dzieje się w gabinecie dentysty. Delikwent siedzi na fotelu, znieruchomiały z przerażenia. Mistrz zakłada obcęgi i ciągnie z całej siły, ale ząb wyślizguje się.

— Widzi pan, tak rwano zęby przed laty, kiedy technika dentystyczna nie stała jeszcze na dzisiejszym poziomie!

Po chwili szamotania dentysta zakłada obcęgi ponownie. Hop! Trzask... Ząb złamał się na parę kawałków.

— O! tak rwie mój konkurent! — objaśnia niewzruszony i zaczyna uśmierzać omdlałego z przestrachu pacjenta.

Po kwadransie usiłowań, uwieńczonych pomyślnym skutkiem, ząb wydostaje się na światło dzienne.

— A tak rwę ja! — oznajmia mistrz z tryumfem.



Innej rady niema.

— Mamo, byłam u kapeluszniczki, ona nie chce mi odmienić kapelusza, a ten... mężowi się nie podoba.

— W takim razie odmień męża, moja córko, innej rady niema.

Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli.

Żona: Ta pani Wściubska jest ogromnie ciekawa. Już od pół godziny siedzi w oknie i patrzy co robią jej sąsiedzi.

Mąż: A skąd ty wiesz o tem?

Żona: Bo przez cały czas obserwowałam ją przez dziurkę od klucza.



Ogłoszenia, rozsypane w druku.

Zdolny nauczyciel, 32 mtr. długi, 22 mtr. szeroki, kryty dachówką, poruszany parą wodną, do rozkładania, z powodu śmierci w części lub w całości do sprzedania.

Młoda kucharka, z żaglowego płótna, stojąca na żelaznej podstawie, bijąca kwadranse i godziny, zaraz do wynajęcia.

Pluszowa kanapa, 15-tej miary, z dobrym chodem, z podwójnemi drzwiczkami, o 10-funtowych oknach, 10 lat wolna od podatku, pisząca na maszynie, z fachowem wykształceniem, poszukuje towarzysza życia.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 21 września b. r.

Pszenica .	47·00—48 00	Słoma długa	11·00—12·00
Żyto .	36 50—37·50	Ziemniaki stoł.	11·00—12·00
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000 00
Jęczmień .	33·50—34·00	Mąka żytnia	54·00—55·00
Fasola biała	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	79·00—80·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Otręby pszen.	28·00—29·00
Siano słodk.	23·00 - 25·00	Mąka czerw.	33·00—34·00
Koniczpastew.	28·00—30 00		